CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 24 Stycznia 1937 R. NR. 4

Budżet a sprawa żydowska

Trawestując znaną anegdotę przedwojenną, można zaryzykować twierdzenie, że gdyby do zakresu spraw dyskutowanych na komisjach budżetowych w czasie obecnej sesji włączona została sprawa hodowli, czy tresury słoni, to znaczna część posłów, czy senatorów R. P. uważałaby za swój obowiązek przemawiać przede wszystkim, a niekiedy nawet niemal wyłącznie, na temat „Słoń a sprawa żydowska".

Sprawa żydowska niewątpliwie jest jedną z zasadniczych spraw, których rozstrzygnięcie stoi dzisiaj przed Państwem i społeczeństwem polskim. Jest to sprawa zarówno ważna, jak aktualna. Jednakże nie znaczy to, by w odniesieniu do tej sprawy rzeczą słuszną było dokonywanie swoistej inwersji, odwrócenia normalnego porządku traktowania spraw ważnych i zasadniczych. Ten normalny porządek polega na tym, że do sprawy żydowskiej, tak jak do każdej spawy w Państwie, podchodzi się z punktu widzenia polskiej racji stanu, to jest potrzeb i interesów Państwa i Narodu Polskiego. Porządek odwrócony — to jest ten porządek, który widzimy właśnie w dużej części dotychczasowej dyskusji budżetowej, polega na tym, że do każdej sprawy Państwa i Narodu Polskiego podchodzi się z punktu widzenia sprawy żydowskiej w Polsce.

Rozróżnienie to nie jest bawieniem się w formuły słowne i bezcelową scholastykę. Ma ono swoje znaczenie zupełnie realne. Nadmierna dominanta sprawy nawet najbardziej zasadniczej, lecz fragmentarycznej, jako przesłony w patrzeniu na całość spraw państwowych, prowadzi niewątpliwie do przytępienia wzroku. Przykłady tego rodzaju bardzo wymowne i w skutkach swych bardzo realne mieliśmy w naszej przeszłości, przede wszystkim zaś w tym okresie najsmutniejszym, który nosi miano czasów saskich. Mieliśmy wówczas szereg takich przesłon, które nie pozwoliły nam w rezultacie dostrzec rzeczy najbardziej dla każdego Państwa istotnej, to jest realnego niebezpieczeństwa. Kto spraw tych nie pamięta dostatecznie, niech przejrzy gimnazjalny podręcznik historii, czy literatury polskiej, dla odtworzenia sobie pewnej atmosfery przyćmionego myślenia, niestety, dość podobnej do tej atmosfery, której przejawy tak często możemy obserwować dookoła siebie.

Lecz czasem są sprawy, które łatwo mogłyby ulec zapomnieniu i niedocenieniu. Wówczas może być pożyteczny Katon, który za obowiązek swój uważa niedopuszczenie do takiego zapomnienia. Katon ten wówczas, wbrew ogólnej obojętności, powtarza swoje „Cartago delenda est!", zyskując sobie w ten sposób wdzięczną pamięć historii.

Gdybyśmy nawet przyjęli tego rodzaju przypuszczenie, to nie uchroni nas ono od zdziwienia w stosunku do tej dziwnej i nagłej nadprodukcji Katonów, szczególnie Katonów świeżo nawróconych, z taką uporczywością przypominających zarówno przy budżecie Prezydium Rady Ministrów, jak przy budżecie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Wewnętrznych, czy jakiegokolwiek innego ministerstwa, o sprawie, której doprawdy zapomnienie i niedocenienie nie grozi.

Bo najistotniejszą cechą sprawy żydowskiej w Polsce jest to, że sprawa ta, która ze wszystkich spraw zasadniczych dla warunków naszego bytu ma najwięcej i najgłośniejszych opiekunów, być może właśnie dlatego, że nie należy do spraw najtrudniejszych — rozwija się po pewnej linii w sposób naogół naturalny i samorzutny, a równocześnie w sposób nieodwracalny.

Stan sprawy żydowskiej w Polsce jest wynikiem nienaturalnych warunków naszej przeszłości. Stan ten bezwątpienia jest czynnikiem ujemnym w całości naszego życia państwowego i społecznego. Jest on ujemnym dla wielu powodów. Już sam fakt, że 10% ludności państwa jest niejako z racji swej odrębności mniej patriotycznie, mniej ofiarnie usposobione dla naszej racji stanu państwowej jest w warunkach geograficznych i politycznych, w jakich żyjemy, czynnikiem bardzo dużej wagi. Lecz miernikiem znaczenia sprawy żydowskiej w Polsce nie może być tylko miernik ogólnej liczebności i stosunkowej siły elementu żydowskiego w całym Państwie. Miernik ten jest niedostateczny ze względu na specyficzną rolę elementu żydowskiego, jako trzeciej części ogółu ludności miejskiej, jako 40% ludności miast Rzeczypospolitej po wyłączeniu miast trzech województw zachodnich. A przecież miasta z natury swej są przede wszystkim ogniskami żywej energii narodu. Równocześnie zaś struktura społeczna i gospodarcza ludności żydowskiej w Polsce jest dla całości naszego życia wybitnie szkodliwa. Skupiając dużą sumę środków gospodarczych, a tym samym i realnego wpływu, w rękach stosunkowo nielicznej plutokratycznej góry, równocześnie pozostawia ona ogromne masy żydowskie w warunkach szczególnej nędzy, obniżając w ten sposób ogólny poziom kulturalny kraju, a w szczególności naszych miast i miasteczek, stwarzając równocześnie wielki rezerwuar sił podatnych dla wszystkich prądów wywrotowych, nie liczących się zupełnie z naturalnymi interesami państwowymi Polski.

Dążenie do zmiany tego stanu rzeczy, dążenie do spotęgowania i rozwoju polskiego, w znaczeniu narodowym, charakteru naszych miast i miasteczek, będzie zawsze tak naturalnym i elementarnym prawem społeczeństwa polskiego, że żaden rząd w Polsce nie będzie chciał, ni mógł tego rodzaju dążeniom przeciwstawić się i przeciwdziałać im w sposób sztuczny. Wymagałoby to nie— jak chcą tego przedstawiciele społeczeństwa żydowskiego — wytworzenia warunków równorzędności ekonomicznej, lecz czegoś wręcz przeciwnego, stworzenia sztucznego uprzywilejowania elementu żydowskiego w stosunku do elementu polskiego, powstrzymywania najbardziej naturalnych procesów gospodarczych i socjalnych, jak np. rozwoju spółdzielczości, emigracji ludności ze wsi do miast i miasteczek etc. I znowuż jest to program, którego żaden

rząd polski nie mógłby przyjąć i nie byłby w stanie wykonać. Lecz w takim razie — jest rzeczą pewną, że sytuacja gospodarcza wielkich mas ludności żydowskiej w Polsce, dzisiaj bardzo zła, nie będzie ulegała poważniejszej poprawie, przy czym nie będzie ulegała tej poprawie niezależnie od woli takiego, czy innego rządu polskiego, nawet niezależnie od zaniechania przez społeczeństwo wystąpień o charakterze stałej i ostrej akcji przeciwżydowskiej, w każdym zaś razie niezależnie od zaniechania wszystkiego, co ma charakter ekscesów i wystąpień, podważających porządek prawny i moralny w Państwie.

Ten naturalny i nieodwracalny proces gospodarczy i społeczny sam przez się narzuca pewne wnioski, pewne konieczności, o charakterze bezwzględnym, niejako losowym. Narzuca przede wszystkim konieczność istnienia i realizowania programu emigracyjnego dla mas żydowskich. Jasne postawienie tej sprawy nie jest przejawem antysemityzmu. Jeśli p. Mincberg, czy ktokolwiek inny z politycznych przywódców żydowskich w Polsce, nie chce uznać tej prawdy, to popełnia coś więcej, niżeli błąd, popełnia poważną mistyfikację w stosunku do istotnych potrzeb i interesów najszerszych mas żydowskich w Polsce. Politykom żydowskim może być niewygodnie, by siła liczebna tych mas ulegała stopniowej redukcji. Masom tym jednak jest przede wszystkim niewygodnie cierpieć tego rodzaju nędzę materialną i tego rodzaju warunki upośledzenia życiowego, jakie są i będą ich udziałem, niezależnie nawet od stopnia natężenia, czy osłabienia nastrojów antysemickich w Polsce.

Walkę przeciwko utworzeniu symbolicznego „ghetto" na wyższych uczelniach można prowadzić, można ją nawet przy otrzeźwieniu części społeczeństwa polskiego, zdającego sobie sprawę, że rzecz ta sięga głębiej w podstawy naszego życia, niżby się zdawało, wygrać. Będzie to jednak zwycięstwo symboliczne, ważne dla niewielkiej części stosunkowo zamożniejszego elementu żydowskiego. Nie ono jednak będzie miało decydujące znaczenie dla tych najszerszych mas żydowskich, które po miastach naszych żyją od dawna w warunkach *faktycznego* ghetto, w warunkach niesłychanego obniżenia stopy wymagań życiowych. Dla zburzenia tego ghetta, które jest w całości życia polskiego czynnikiem niewątpliwie ujemnym, zaś w całości życia żydowskiego w Polsce czynnikiem zarówno ujemnym, jak też wysoce upokarzającym, nie ma w dzisiejszych czasach warunków gospodarczych i społecznych życia polskiego innej drogi, jak tylko droga stopniowej, lecz możliwie najliczniejszej i najszybszej emigracji.

Na temat realności i nierealności programu ożywienia emigracji żydowskiej istnieje już dziś poważna literatura. Zakres i możliwości emigracyjne są w niej oceniane w sposób niezmiernie różny. Jedno nie ulega wątpliwości. Do zagadnienia tego nie trzeba, ani nie można podchodzić z tego rodzaju nastawieniem, że istnieje tutaj rozbieżność pomiędzy interesami państwa i społeczeństwa polskiego, a interesami mas żydowskich w Polsce. Jeśli przed wojną, w latach 1900 — 1914, ogólna suma emigracji żydowskiej z terytoriów dzisiejszego Państwa Polskiego, emigracji zupełnie niezorganizowanej i samorzutnie przełamującej wszelkie trudności, wyniosła okrągło 1.000.000 osób, dochodząc w poszczególnych latach do liczby około 150.000 głów rocznie, to mamy w tym świadectwo istotnych nastrojów masy żydowskiej w stosunku do problemu emigracji i równocześnie istotnych możliwości, oczywiście, w okresie względnie pomyślnej koniunktury gospodarczej, gdy polityka zakazów imigracyjnych będzie z natury rzeczy słabsza, niżeli w ostatnich latach kryzysowych. Lecz okres ten dziś wcale nie wydaje się być tak daleki, ni tak nierealny.

Sprawa może i powinna być postawiona dla obu stron odpowiednio jasno. Polska nie jest i nigdy nie będzie dla mas żydowskich ziemią obiecaną, może dla nich być tylko tym, czym jest dzisiaj, *ziemią wyjątkowej nędzy.* Stąd też, chociażby nawet nie odpowiadało to intencji pewnej liczby polityków i przywódców żydowskich, fakt jest niezaprzeczalny: przyszłość narodu żydowskiego, interes mas żydowskich, nie może być wiązany z terenem dzisiejszego Państwa Polskiego. Nie leży to w interesie ani Narodu-gospodarza, ani Narodu-gościa. Wspólność interesów zaczyna się natomiast tam, gdzie zaczyna się szukanie wyjścia z tej sytuacji, to jest szukanie terenów emigracyjnych, gdzie masy żydowskie mogłyby zdobywać dla siebie lepsze i moralnie zdrowsze, choć może pod niejednym względem cięższe, warunki bytu, czy warunki rozwoju.

Szukanie tego rodzaju rozwiązań może być tak samo nazwane antysemityzmem, jak filosemityzmem. W gruncie rzeczy przeciwko tego rodzaju hasłom występuje tylko pewna część politycznych przywódców życia żydowskiego w Polsce, którzy — niezależnie od stopnia swego radykalizmu w odniesieniu do spraw innych — w tej jednej sprawie chcą być konserwatystami, to jest oprzeć się na wierze, że uprzedni stan posiadania ludności żydowskiej w Polsce może być na przyszłość utrzymany, jeśli nie rozwinięty.

Tego rodzaju konserwatyzm jest niewątpliwie równocześnie dość swoistym romantyzmem, odrzucającym zupełnie realną ocenę sytuacji. Romantyzm ten jest tym płytszy i mniej wartościowy, że opiera się przede wszystkim na czynniku przyzwyczajenia i wygody, przy czym wygody bardzo egoistycznej nielicznych Żydów, którzy się w Polsce urządzili dotychczas dostatecznie dobrze, lub nawet bardzo dobrze, i którzy dla utrzymania tej swojej pozycji potrzebują wielkich liczebnie mas żydowskich, chociażby nawet żyjących w warunkach największej nędzy i upośledzenia.

Idący z tej strony negatywny stosunek do szerszych programów emigracyjnych, pojętych jako sposób rozładowania zagadnienia żydowskiego w Polsce, czy w innych krajach Europy wschodniej, niezależnie czy programy te wychodzą z wewnątrz społeczeństwa narodów - gospodarzy, czy z wewnątrz społeczeństwa żydowskiego — nie znajduje jednak i nie znajdzie na przyszłość oparcia w kołach młodzieży żydowskiej. Młodzież ta jest dziś ogarnięta dążeniem dla szukania dla siebie takich terenów pracy, które by dały jej poczucie wypełniania większej roli, niżeli tkwienie w żydowskim ghetto w Polsce, lub szukanie wyłącznie jednostkowego wyjścia z tego ghetta. Tego zjawiska również lekceważyć nie można. Przekreśla ono wszelkie utopijne plany szerszej asymilacji, więcej, utrudnia poważnie nawet dotychczasowe warunki współżycia żydowskiego w ramach innych organizmów narodowych, lecz jest czynnikiem pobudzenia energii, która w konsekwencji musi prowadzić do szukania dla własnego narodu innych warunków egzystencji, niżeli te, które może mieć w Polsce, będącej z natury rzeczy dla mas żydowskich, jeśli nie „domem niewoli", to „domem nędzy", w każdym zaś razie „domem cudzym".

Dochodzimy tutaj do momentów, poruszonych i omówionych w naszym piśmie przed kilku miesiącami w artykule „O dom dla wiecznego tułacza". W ciągu tych kilku miesięcy sprawy tam poruszone nie straciły nic ze swej aktualności. Przeciwnie, zbliżyły się bardzo do rzeczywistości i wysoce urealniły.

To też w społeczeństwie polskim różnice poglądów i nastawień w odniesieniu do tego fragmentu sprawy żydowskiej istotnie nie są zbyt wielkie. Występują one natomiast silnie w odniesieniu do innego punktu: czy w interesie Państwa i Narodu Polskiego leży szukanie realnych rozwiązań sprawy żydowskiej w atmosferze możliwego spokoju, czy też maksymalnego podniecenia i rozognienia? I tutaj — śledząc chociażby przebieg dyskusji budżetowej — należy dojść do wniosku, że zakres oddziaływania czynnika histerii w tej sprawie zwiększa się systematycznie.

Lecz histeria rzadko kiedy jest istotnie twórczym stanem, szczególnie zaś, jeśli w dodatku płynie nie tyle ze szczerego wzburzenia, ile z wyrachowania.

W odniesieniu do sprawy żydowskiej w Polsce, mając pełne poczucie znaczenia tej sprawy i konieczności planowego jej rozwiązywania, nie mamy powodu tracić zimnej krwi, zdolności panowania nad sobą, trzeźwości sądów i poczucia celowości czynów. Nie jesteśmy w odniesieniu do tej sprawy ani tak słabi, ani tak bezradni, byśmy mieli wyrabiać w sobie psychologię społeczeństwa i Narodu, który stracił panowanie nad sobą, bo już nic innego nie ma do stracenia. Zapominać o tym nie należy nigdy, nawet w dyskusji budżetowej, jak o tym zresztą słusznie przypomniał na Komisji Premier, będący równocześnie lekarzem.

Zbigniew Domaniewski

Anglia i Włochy

Polityka międzynarodowa wzbogacona została o jeden jeszcze układ. Zawarły go Anglia i Włochy. Dotyczy on problemów śródziemnomorskich i stosunków politycznych między oboma mocarstwami. W szczególności zamyka okres nieporozumień, wynikłych z racji podboju Abisynii przez Włochy i wywołanej przez Anglię kontrakcji Ligi. Angielsko - włoskie „gentelman's agreement" zamyka ten okres, stwierdzając, że oba mocarstwa „zgadzają się użyć swych najlepszych wysiłków, aby przeciwdziałać wszelkim krokom, obliczonym na naruszenie dobrych stosunków, do których skonsolidowania zmierzają".

Pierwszy krok do złagodzenia zadrażnień angielsko - włoskich uczynił Mussolini. W mowie wygłoszonej przez Mussoliniego w Mediolanie 1-go listopada 1936 padły pierwsze słowa pojednawcze. Nie były one jednak pozbawione zgrzytów. Mussolini wysunął na przykład drażniącą Anglików tezę, że „Morze Śródziemne dla Anglii to *tylko* droga, a dla Włoch to *sprawa życia*". Teza w charakterze iście mussolińska. Odzwierciadla się w niej mąż stanu, unikający z reguły słownictwa sentymentalnego, odgrywającego w polityce zagranicznej rolę konwenansu. Wódz faszyzmu, charakteryzując problemy polityczne, nie stara się je oddawać w zamgleniu formuł dyplomatycznych, jak to zwykli czynić ministrowie Spraw Zagranicznych. Mussolini jest bowiem nie tylko mężem stanu, ale zarazem wodzem i wychowawcą swego społeczeństwa. Kiedy Duce mówi — przemawia do mas: zarówno mas włoskich, jak i cudzoziemskich. Jedne wychowuje politycznie, w drugich stara się wzbudzić zrozumienie dla potrzeb życia włoskiego. Stąd też przemówienia Mussoliniego obnażają bez dyplomatycznej pruderii *istotną*, zrozumiałą z łatwością *każdemu*, życiową *treść* zagadnień polityki międzynarodowej. Treść kryjącą w sobie najczęściej problem nędzy czy dobrobytu, upadku czy chwały narodów.

Nędza czy dobrobyt, upadek czy chwała narodu włoskiego — zależą, w myśl koncepcji politycznych faszyzmu, od rozwiązania kwestii śródziemnomorskich w sensie przyznania Włochom *naturalnego* prawa do ekspansji ku przeciwległym wybrzeżom Morza Śródziemnego. Nie ulega wątpliwości, że ten niepohamowany pęd faszystów do uczynienia z Morza Śródziemnego rozległej włoskiej przestrzeni życia nie jest li tylko hasłem imperialistycznym, *nie jest dowolną ideą* rzuconą przez jednostkę, a porywającą za sobą masy. Stosunek Włoch faszystowskich do Morza Śródziemnego wynika z potrzeb, stwarzanych przez wolę do ekspansji, tkwiącą w narodzie i państwie. Abisynia mogłaby te potrzeby zaspokoić w jaknajszerszej mierze, gdyby ekspansja zamorska ograniczała się do walki o surowce i do emigracji w sensie tylko gospodarczym. Istnieją jednak obok względów czysto gospodarczych względy *mocarstwowe*. Nakazują one państwu kierować ekspansję swą do terytoriów *możliwie najbliższych*. Terytoriami najbliższymi Włoch są wybrzeża Morza Śródziemnego. Stanowią one naturalny cel, do którego zmierza włoska ekspansja mocarstwowa.

Podbój przez Włochy odległej Abisynii był pójściem po linii najmniejszego oporu. Wystarczało tam stoczyć wojnę z państwem na wpół prymitywnym i ze straszakiem mocarstwowym — Ligą Narodów. Natomiast chcąc zdobyć nowe terytoria nad Morzem Śródziemnym, Włochy musiałyby walczyć z *mocarstwami*. Podbój Abisynii i oświadczenie Mussoliniego na temat rzekomego nasycenia Włoch nie powinny dać zapomnieć o geopolitycznej prawdzie, że *każde* życie, które czuje się zmuszone przez nadmiar sił wewnętrznych do wyjścia z półwyspu Apenińskiego za morze, *musi* prędzej lub później sięgnąć po wybrzeża Morza Śródziemnego. Tak było już z Etruskami i od pierwszej wojny Punickiej do powstania Cesarstwa Rzymskiego, tak będzie od dnia zdobycia przez Włochy Tripolitanii i Cyrenajki w zwyż dziejowej drabiny wydarzeń. Morze Śródziemne — „które niegdyś należało do Rzymu" — nigdy nie przestanie kusić ekspansywnego życia włoskiego. Niechaj wojna w Hiszpanii będzie najlepszym tego dowodem.

Na tym jednak nie koniec. Wszczęty przez Mussoliniego w mowie w Mediolanie spór o „naturalne" uprawnienia życiowe na Morzu Śródziemnym jest nietylko starciem się młodego imperializmu włoskiego ze śródziemnomorskimi pozycjami Anglii. Jest nadto — i bodaj co ważniejsze — starciem się dwóch odrębnych światów psychicznych. Spotkały się w tym sporze na Morzu Śródziemnym naród rolniczy i naród handlowy. Odżywa tu odwieczny konflikt między rolnikiem a kupcem. Jak kiedyś fizjokraci ograniczali pojęcie pracy produkcyjnej do pracy rolnika, myśliwego i rybaka, tak dziś faszyzm ogranicza pojęcie „przestrzeni życia" do przestrzeni, w której się *stale przebywa*, produkując. „Morze Śródziemne jest moje, bo ja tu sieję i zbieram, a Ty *tylko* przewozisz towary drogą, prowadzącą przez moje włości" — tłomaczy Albionowi Mussolini.

Dla Włoch Morze Śródziemne jest przede wszystkim terenem, w którym chcą one ulokować nadmiar ludności rolniczej. Dla Anglii Morze Śródziemne jest drogą, którą podążają na zamorskie rynki zbytu produkty pracy nadmiaru ludności, zdobywającej chleb pozostając na miejscu w Anglii i pracując w przemyśle eksportowym. Ale Morze Śródziemne nie jest dla Anglii *tylko* drogą. Obszar produkcji — Anglia — i rynki zbytu — Afryka, Azja, Australia — tworzą wraz z łączącą je drogą śródziemnomorską *organiczną całość*. Utrzymanie tej całości jest dla Anglii *kwestią życia*. Dla Anglii, jako państwa przemysłowo - handlowego, droga, wiodąca przez Morze Śródziemne na Ocean Indyjski, stanowi wraz z kanałem Suezkim i bazami morskimi taką samą *naturalną przestrzeń życia*, jak pola uprawne u wybrzeży śródziemnomorskich dla Włoch, państwa o ludności głównie rolniczej. I ta tylko zachodzi między jednym a drugim różnica, że Włosi są naturalnymi mieszkańcami *wybrzeży*, Anglicy natomiast są jak by naturalnymi mieszkańcami *dróg* śródziemnomorskich.

Przywódcy i ideologowie faszyzmu mówili często, że Anglia, jako posiadaczka niektórych wysp i punktów u wybrzeży, jest na Morzu Śródziemnym intruzem. Tkwi w tym tragiczne nieporozumienie. Wynika ono stąd, że *położenie geograficzne* półwyspu Apenińskiego, dające jego mieszkańcom nieposkromiony pęd do opanowywania coraz to nowych wybrzeży otaczającego morza — to niezaprzeczone geopolityczne *przeznaczenie* Włoch do uczynienia z Morza Śródziemnego Mare Nostro, kryje w sobie utajoną ironię losu. Oto Morze Śródziemne mieści się między kontynentami tak, że przyciąga do swych wybrzeży z magnetyczną siłą bitne i zaborcze ludy z odległych dziedzin Europy, Afryki i Azji. Nie zapominajmy dziś, w okresie sporów o prawo do życia u wybrzeży i na wyspach Morza Śródziemnego, że *musiało ono przyznać* prawo do życia nad nim w ciągu tysiącleci kolejno Berberom, rasom Zachodnio - Azjatyckim, Indo - Europejczykom, Germanom, potem znów Berbero - Arabom; Normandom, Turkom i narodom północno - europejskim, które od czasów Reconquisty i Wojen Krzyżowych podejmują decydującą walkę o prymat śródziemnomorski. Rzymskie Mare Nostrum było w historii Morza Śródziemnego zaledwie epizodem, który się skończył, jak tylko bitne i zaborcze plemiona Germanów uległy pokusom słońca południowego.

Morze Śródziemne — to w mieszkaniu ludzkości sala nieustannych spotkań i odwieczny pokój przechodni. Od tysiącleci przechodzą tędy najrozmaitsze rasy i kultury, spotykają się tu, zwalczają zawzięcie i stapiają z sobą, tworząc nowe narody i cywilizacje. Kto mieszka w sali, w której się odbywają regularne spotkania — ten nie może uzurpować tej przestrzeni wyłącznie, czy choćby tylko przede wszystkim dla siebie. Komu los kazał mieszkać w pokoju przechodnim lub korzystać z niego w roli przechodnia — ten nie może rościć sobie

pretensji do wyłącznego rządzenia się tym pokojem, dowolnego otwierania i zamykania drzwi doń prowadzących, chyba, że chce zagniewać na siebie *wszystkich*, którzy *muszą* z tego pokoju korzystać. Kogo ewolucja historyczna postawiła na Morzu Śródziemnym, ten nie może — jak to chcieli uczynić przed rokiem Anglicy — przekręcać klucza u drzwi w Gibraltarze i Suezie, ani też — jak to czynią faszyści — przypisywać sobie *praw* sukcesyjnych przestrzennych po klasycznym Cesarstwie Rzymskim, którego wyłączność władania była rezultatem przemocy politycznej, a nie prawa.

Zwrotem Anglików i faszystów w kierunku *prawa* jest dopiero deklaracja z 2 stycznia, stwierdzająca, że „Rząd J. K. M. w Zjednoczonym Królestwie i Rząd Włoski: ożywione pragnieniem przyczynienia się w sposób wydatny, w interesie powszechnej sprawy pokoju i bezpieczeństwa, na rzecz polepszenia stosunków między nimi oraz pomiędzy *wszystkimi* mocarstwami śródziemnomorskimi i zdecydowane *uszanować prawa* i *interesy tych mocarstw, uznają*, że swoboda wejścia i wyjścia oraz przejazdu przez Morze Śródziemne stanowi żywotny interes zarówno dla rozmaitych części Imperium Brytyjskiego, jak i dla Włoch oraz, że interesy te w żadnym stopniu nie są sprzeczne między sobą".

Po tej deklaracji należy się spodziewać pokoju między Anglią i Włochami. Ale Mussolini, zwracając się do Anglii w Mediolanie ze słowami pojednania, mówił o pokoju *uzbrojonym*. „Program nasz celuje uzbrojenie na lądzie, na morzu i w powietrzu; będzie on regularnie rozwijany i zostanie przyspieszony, obejmując wszystkie siły produktywne całego narodu, zarówno na polu przemysłowym, jak i rolniczym". Po drugiej stronie wówczas jeszcze istniejącej przepaści — w Anglii — oznajmił Sir Samuel Hoare w Izbie Gmin jako minister marynarki, że „potęga floty brytyjskiej uczyni wkrótce wojnę niemożliwą". Dokonany dopiero co „dżentelmeński uścisk ręki" między Anglią i Włochami był więc uściskiem rąk, zakutych w stal.

Trwałość takiego zakutego w stal pokoju pociąga za sobą — jak się wyraził Stanlay Baldwin — „szaleństwo" zbrojeń; szalony, nie dający się powstrzymać wyścig zaopatrzenia zbrojnego państw. Wyścig ten musi się odbywać kosztem stopy życiowej ludności. Angielski premier dziwi się niepomiernie, że są narody — zdaniem jego przez nikogo nie zagrożone — a które mają chęć poświęcać dobrowolnie dla zbrojeń część swej strawy powszedniej. Minister Eden stwierdza, że Anglicy stanowczo „wolą masło niż armaty". Stanowisko takie u Anglików jest zupełnie zrozumiałe. Wynika ono bezpośrednio z ich koncepcji imperialnej. Już w roku 1616 znalazł się polityk angielski — Sir Thomas Roe — który narzekał głośno na koszta zbrojeń, jakie pociąga za sobą polityka handlowa kolonialna. Roe wyraził się, że gdyby mu Wielki Mogoł ofiarowywał w Indiach fortece... „odmówiłby, albowiem utrzymanie garnizonu pochłania zyski handlu".

Rzeczywistość polityczna kazała jednak Wielkiej Brytanii zasiać Imperium fortecami. Dziś fortece te Wielka Brytania wzmacnia jeszcze i nadomiar tego powiększa swą flotę wojenną. Podobnie czynią Włochy, ale myślą o tym co czynią inaczej. Dla demoliberalnych Anglików zbrojenia to plaga i szaleństwa. Dla faszystów Włochów — to *radosne* poświęcenie dobra indywidualnego na ołtarzu totalizmu państwowego. Stosunek Włoch do Morza Śródziemnego jest, w sensie koncepcji totalistycznych — bohaterski. Włochy gotowe są dla opanowania tej przestrzeni — „która niegdyś należała cała do Rzymu" — wylać z radosnym entuzjazmem morze krwi własnej i rzucić się głową na dół w otchłań nędzy. Stosunek Anglii do Morza Śródziemnego jest natomiast, tak samo jak i do każdej innej przestrzeni kolonialnej, kupiecki. Anglia myśli z odrazą o przelewie krwi i liczy z żalem miliardy, jakie pochłania rozbudowa zbrojeń i śródziemnomorskich pozycji mocarstwowych.

Anglia i Włochy na Morzu Śródziemnym — to nie tylko dwa imperialistyczne narody, rzucone przez ewolucję historyczną do wspólnej przestrzeni życia, ale także dwie odrębne psychologie polityczne, dwa odrębne światy. Nie ułatwi im to z pewnością utrzymania w przyszłości zbrojnego pokoju.

Inż. Fr. Sarnek

Linia generalna

Ośrodek wytwórczy, fabryka, jest w pierwszej t. zw. liberalnej fazie swego funkcjonowania na tle zbiorowości ludzkiej miejscem produkcji równocześnie *dóbr* gospodarczych i *zła* społecznego. W tej sprzeczności tkwi istotny sens zagadnień szarpiących współczesną ludzkość. Trudne do rozstrzygnięcia pytanie, która z tych dwu stron, związanych z istnieniem produkcji, posiada prymat rozwojowy, która jest ważniejszą dla ukształtowania doli przyszłych pokoleń, łączy się ze sprawą również niejasną dzisiaj jeszcze: którą z tych obu form przejawiania się działalności wytwórczej należałoby, dla dobra obecnie istniejących ludzi, poświęcić, a którą rozwinąć. Czy korzyści płynące z tęgiej i bezwzględnej polityki wytwarzania pokrywają rozmiar niedoli ludzkiej, płynącej z olbrzymiego wyżyłowania pracą nienagrodzoną równoważnikiem dobrobytu społecznego? I czy wogóle możliwe jest jakieś nagrodzenie organizmu ludzkiego, zużywanego systematycznie w trybach mechanizmu wytwórczego, pracującego według dzisiejszego porządku? Cechą tego porządku jest wyścig pracy. Konsekwencją naturalną wyścigu pracy jest jednak imperializm gospodarczy, a co zatem idzie, i polityczny. Wyścig pracy rujnuje zdrowie społeczne mas zbiorowości, ogarniętej jednostronną gorączką hazardu. Dylemat więc, przez to że został przeniesiony na teren zbiorowej dynamiki, nie stał się łatwiejszy do rozwiązania.

Naogół wszakże można zaryzykować twierdzenie, że graniczną wartością, ku której zdążają świadome i nieświadome wysiłki mas ludzkości, jest stan uzgodnienia strony gospodarczej produkcji z jej stroną społeczną. Harmonizowanie tych dysonansów jest tym pilniejsze, że tempo powiększania się zasobu cyfrowego mas ludzkich przybiera w ostatnim stuleciu zgoła niepokojące formy. W takich warunkach nic nie ma dziwnego w zjawisku powszechnego nastroju oczekiwania najryzykowniejszych przemian w ustalonym napozór porządku rzeczy dzisiejszego świata. Nie jest też niespodzianką atak skierowany na stronę gospodarczą tego porządku.

Kolektyw gospodarczy stał się niewątpliwie najpopularniejszym hasłem dnia na rozłogach europejskiej, białej, Metropolis. Niezależnie od kształtu, w jakim widzą zespołowość działania rozmaite odmiany intelektu, współżyjące na terenie macierzy, sama treść wspólnoty z rejonów wizji religijnej zdaje się przechodzić w fazę urzeczywistnienia. Konieczność uporządkowania materialnego podłoża bytowania ludzkości nie jest już dzisiaj przez nikogo kwestionowana. Wszyscy zgadzają się w tej ważnej sprawie. Nawet przedstawiciele Kościoła, którzy do tej pory wstydliwie odwracali oczy od przykrego zaiste widoku rabunkowej gospodarki w okresie porządku feudalnego i anarchii prywatno-kapitalistycznej, polecając jedynie nieszczęsne dusze pognębionych Miłosierdziu Bożemu, stanęli do twardej pracy organizacyjnej wśród mas ludowych. Jesteśmy świadkami wspaniałego zjawiska: mistyczna religia społeczna, poczęta w masach starorzymskiego proletariatu niewolniczego, zapłodniona działaniem helleńskiego intelektu, przeżywa

okres powtórnego wcielenia. Podobnie jak wówczas, przed dwoma tysiącami lat, przeciw tej religii powstaje dyktatura egoizmu, powstają imperatorzy wyniesieni rękami żołnierskimi na szczyty społeczne. Poprzez Europę wieje ostry powiew narastających konfliktów religijnych. „Już się ma pod koniec starożytnemu światu: bogi i ludzie szaleją..."

Dzień dzisiejszy jest jednym z dziwnych dni w rozwoju ludzkości. Nie żal żyć w jego zamęcie. Człowiek, ów tajemniczy aparat przetwarzający nieskończoność w kształt doczesnego trwania, dochodzi swoich naturalnych praw, dochodzi warunków niezbędnych dla swego sprawnego funkcjonowania. W tej bardzo prostej formie streszcza się sens obecnej, zagmatwanej napozór, epoki.

Oczywiście, wypiętrzenie doktrynalne idei wództwa w pewnej liczbie państw, przede wszystkim zaś w Niemczech, na tle dążeń totalizacyjnych w ustroju państwowym, przedstawia również refleks odległych czasów. Jednolitość przymusowa uszykowania zbiorowości, wyszukany schemat egzaminacyjny jakiejś fantastycznej staro-pruskiej szkoły podoficerskiej, nosi w sobie tyle cech wewnętrznego nieprawdopodobieństwa, że wydawałoby się rzeczą zgoła zbyteczną dłużej się nad taką upiorną fantasmagorią zastanawiać. Swojego czasu od podobnej, ponumerowanej standaryzacji społecznej odżegnywali się namiętnie nawet socjaliści. Dziś wszakże ta standaryzacja uderzyła do głowy antymarksistom. Karykatura komunizmu w krzywym zwierciadle stanowej organizacji wygląda doprawdy poczwarnie. Kto wie jednak, czy ludność metropolii europejskiej nie będzie musiała przejść i takiej recydywy, rywalizacji starego Bizancjum i starej Romy?

Niemniej przeto, pominąwszy wszystkie zniekształcenia ideologiczne, zasada sama, zasada *wspólnoty dziedzictwa i zespołowości w dążeniu*, zwycięża na całej linii. Człowiek poszczególny coraz bardziej uświadamia sobie fakt, że posiadanie czegokolwiek, wobec krótkofalowości życia w ramach doczesnych, jest prostym złudzeniem, dziwaczną fikcją przesłaniającą istotny stan rzeczy. *Jednostka nie posiada: ona dysponuje* w pewnym, zresztą bardzo ograniczonym stopniu, jakimś udziałem w korzyściach płynących ze wspólnego podłoża bytu szerokiej grupy np. narodowej. *Udział przypadający na jednostkę oraz zasięg dyspozycji tym udziałem, jest funkcją ogólnego powodzenia zespołu.* Są to prawdy elementarne, prawdy ogłoszone od paru tysięcy lat istnienia tak młodej jeszcze ludzkości. Prawdy te, ulotnione w dzieciństwie ludzkości w ponad ziemskie empirejskie krainy mitów i wierzeń, bardzo powoli przesiąkają w przyziemia brutalnej pracy ludzkiej. Tam gdzie jest praca, zapomina się o człowieku. *Ideałem stotalizowanego ustroju jest wchłonięcie całkowite człowieka przez pracę:* powrót do specjalizacji właściwej niesamowitej organizacji roju owadziego.

Praca ma w sobie cechy trucizny, którą należy ostrożnie dozować. W odpowiednich dawkach posiada ta trucizna, jak wiele zresztą niebezpiecznych jadów, wysokie własności lecznicze. Stosowana w nadmiarze — staje się przyczyną groźnych zaburzeń i trwałych zwyrodnień udręczonego nią organizmu. Dlatego też należy z dużą nieufnością odnosić się do wszelkich statystyk marnowania sił roboczych. Nie wiadomo, czy na tym marnowaniu sił roboczych nie zyskuje człowiek. Zresztą słuszność naszego poglądu dowiedzioną została widocznym dla wszystkich *experimentum crucis:* gdyby praca była taką świętością, to pocóż intelekt ludzki tworzyłby zespoły zastępczych maszyn? Wszyscy przecież jednozgodnie śmiejemy się z tybetańskiego młynka do odmawiania modlitw. Natomiast wiemy dobrze, że ważną jest rzeczą, mieć czynny mózg, twórcę narzędzi kształtujących doczesność na obraz i podobieństwo człowieka.

Zdolność przeobrażania widomego kształtu materii stanowi wielce niebezpieczną właściwość ludzkiego intelektu. Rozłupując uderzeniem młota kamień, człowiek wciela nieodwołalną już swoją decyzję. Dlatego jest sprawą pierwszorzędnej wagi dla przyszłości rodzaju ludzkiego, aby coraz to mniej było decyzji lekkomyślnie powziętych i chaotycznych.

Niewątpliwie, chaosowi realizowanych przez wielomilionowe zbiorowiska jednostek decyzji przeciwstawia się automatycznie działające prawo wielkich liczb, niemniej jednak jest rzeczą pożądaną, aby prawu temu pomagała uzgadniająca zdolność umysłu świadomego swoich zadań człowieka. Zmysł organizacyjny jest po prostu darem plastycznego widzenia projektowanej rzeczywistości. Nie zastąpią tego daru żadne teoretyczne rozważania, tak samo jak nie zastąpią one talentu malarskiego lub muzycznego. Rasowy organizator *widzi* swój schemat wcielony w żywy kształt ustawiony na teatrze zdarzeń. Dlatego to wszelka czynność istotnie organizująca musi się liczyć z trwałością zamierzonych zmian. Czynność burzenia jest czynnością krótkotrwałą. Z chwilą jednak, gdy ustawiliśmy dwie cegły na sobie sklejone cementem, rozpoczyna się długofalowy okres konserwacji. Przekonali się o tym na swoim terenie komuniści rosyjscy, gdy w miarę realizacji swego olbrzymiego montażu przemysłowego ich swoboda rewolucyjna tężała w klasyczne formy wielkokapitalistycznej ustrojowości. Sztywność rzeczy stworzonych jest niezwykle krępującym zjawiskiem.

Z tego punktu widzenia wielorakość typu ludzkiego, którą spotyka inicjatywa organizacyjna na drodze swojej pracy, ma znaczenie niezwykle pocieszające. Łatwo na pozór operować jest na tle materiału biernego i łatwo poddającego się cudzej woli: łatwość ta jednak niebezpiecznie się równoważy ogromem odpowiedzialności, obarczającym inicjatywę twórczą. Ludzie rzetelni z ciężkim jeno sercem i to w chwilach wyjątkowych godzą się na podjęcie tej odpowiedzialności.

Widzenie plastyczne rzeczywistości jest warunkiem niezbędnym udania się jakiejkolwiek akcji uzgadniającej. Widzenie to ułatwia przede wszystkim odrzucenie momentów drugorzędnych i nieistotnych, poniechania niepotrzebnej taktyki osaczającej, działania za pomocą czynników nie ważnych i fragmentarycznych — słowem wszelkiej tandety i sztuczności w robocie, która musi być zwartą i celową. Weźmy np. pod uwagę zagadnienie totalizacji państwa na sposób niemiecki. Składa się ono z trzech centralnych decyzji:

a) uchwycenie wielkiej ilości kapitałów w ręce dyspozycji zorganizowanej,
b) wmontowanie tych kapitałów w akcję dostarczenia pracy robotniczej masie i w akcję zorganizowania obrotu produktami rolnymi,
c) związanie w ten sposób interesów masy chłopskiej i robotniczej z interesem państwowym.

Wytworzony na tej zasadzie blok faktów stał się naturalną podstawą do wyciągnięcia wszelkich innych wniosków organizacyjnych, których nawet omylność nie narusza wagi powyższych naczelnych rozstrzygnięć. Rozmaite koncepcje narodowego socjalizmu, dziwnie ożenionego z ideą wództwa w sensie starorzymskim, mogą się z czasem rozlecieć pod naciskiem życia, pozostaje jednak nietknięta wielka zasada zespołowości w dziedzinie społeczno-gospodarczego działania, interesującego całość zbiorowości ludzkich, skupionych na danym terenie dyspozycji państwowej.

Nie należy oczywiście wyobrażać sobie, że sprawa np. niemiecka, czy też rosyjska, przedstawia rezultat dowolności organizacyjnej, że zatem możnaby podjąć się rozwiązania istniejącego splotu zagadnień w inny sposób lub na innej płaszczyźnie. Nie, nacisk koniunktury dziejowej w tych krajach pozostawiał właśnie taką a nie inną treść rozwiązania: *obronnego na prymitywnych i rozległych przestrzeniach sowieckich, zaczepnego na ciasnym i przeinwestowanym terytorium Rzeszy.*

Rosja musi się bronić przed dyktatem imperializmu wielkokapitałowych państw zachodnio - europejskich, Niemcy zaś muszą przygotowywać się do walki o rynki zbytu, bez których w żaden sposób obejść się nie mogą. Jak się rozplącze niepokojąca zagadka rosyjsko - niemiecka? Pytanie to stanowi punkt wyjścia dla zagadnienia polskiego. Polska *leży* na drodze niemieckiego pochodu ku olbrzymim obszarom rynków wschodnich. W interesie tych rynków jest, jak długo pożądają one osłony przed bezpośrednią inwazją, aby ten stan rzeczy nie zmieniał się: wprost przeciwnie, aby ten stan ustalał się i umacniał. Militaryzacja tego bastionu ochronnego leży w interesie owych rynków. Silna i niezależna Polska, duchem patriotycznym owiana, liczna i dobrze uzbrojona armia polska, stabilizacja stosunków społecznych w Polsce — oto *powinny być* cele rozumnej polityki sowiec-

kiej. Lecz planowość tej polityki jest hamowana obawą, aby zwarta i mocno zorganizowana Polska nie wzięła udziału w pochodzie niemieckim, o ile taki się odbędzie, lub nie stanęła kością w gardle ewentualnej ugodzie niemiecko - rosyjskiej.

W tym względzie stanowisko Rosji jest identyczne ze stanowiskiem Niemiec. Gdyby w interesie Niemiec leżała mocna Polska, kraj nasz byłby dzisiaj już dawno i świetnie zainwestowany i doskonale urządzony pod względem wzajemnego obrotu dóbr i kapitałów między oboma państwami. Musimy zatem jeszcze raz spokojnie stwierdzić, że *obaj nasi sąsiedzi, niezależnie od swego antagonizmu, są od lat dwustu w cudownej zgodzie, o ile idzie o skręcenie naszej sile karku*. Ta stałość sentymentu niemiecko - rosyjskiego przetrwała dostateczną ilość prób, aby stać się ważną wytyczną polskiej racji stanu.

Zawalidroga polski ostał się zatem między swymi dwoma sąsiadami samotny, na wyrwanej im, opustoszałej ziemi, łachmanem przykryty i dla obu niemiły, a przede wszystkim nader niepożądany, a nieunikniony partner w interesie. Ten trzeci, na którego niech co prędzej przyjdzie czarny rok. Ten, przez którego folwark idzie ostra linia podziału: z lewej strony kultura, rasa, totalizacja, samorząd, z prawej zaś bezdroże, dzicz i dyktatura. Na tle tej sielanki histeryczny kapitał, któremu pilno uciec z niepewnej pułapki, zanim za późno będzie na ostatni pociąg. Zawalidroga, zacisnąwszy nagie pięści, spoziera podejrzliwym wzrokiem na ten niesamowity taniec na swoim podwórku i rozmyśla: jak tu utrzymać tę nieprzytomną gromadę rozkrzyczanych i spłoszonych ludzi, którzy coraz to wyraźniej widzą, że się dostali w niebezpieczny *no man's land* historii?

Więc ani totalizacja, ani dyktatura, a przede wszystkim *spokój*. Nic się jeszcze nie dzieje i nie wiadomo, czy się dziać cośkolwiek dramatycznego będzie. Zawalidroga się uśmiechnął: kochamy naszych sąsiadów i wiemy dokładnie, czego oni nam w głębi swoich serc najszczerzej życzą. Niech się cieszą, że jesteśmy na razie przynajmniej, obdarci ze wszystkiego. Musimy być twardzi dla siebie samych. Ale jak? Sprawa aż dotąd była po żołniersku prosta. Jeżeli terytoria Metropolis białej przeżywają recydywę okresu z czasów Narodzenia Chrystusa, jeżeli poprzez te terytoria idzie głęboki prąd zespolenia w obliczu otwierających się a nieznanych jeszcze możliwości, to należałoby mocnym wysiłkiem pokornej i wielkiej duszy związać własne masy narodowe we wspólnym uniesieniu i na tym porywie, jak na opoce kamiennej, budować nowy kościół. Imperatyw wspólnoty wynika jednak również z rosnącego nacisku demograficznego wobec równoczesnej ograniczoności bezpośrednio dostępnych zasobów materialnych, przygotowanych przez naturę, których nie wolno rzucać w otchłań eutropii dla uciechy niewielkiej gromady niefrasobliwych egoistów.

W tym stanie rzeczy jasne jest, że wezwanie do zwarcia szeregów narodu musi być konsekwencją śmiałej inicjatywy w kierunku uporządkowania materialnych podstaw jego bytu w oparciu o wspólnotę użytkowania. Innymi słowy, integracja rozsypliwej zbiorowości, znajdującej się na terytorium Polski, musi przyjść z wnętrza tej zbiorowości, odnajdującej łączność swych spraw w całości interesu państwowego. Taką samą łączność muszą odnaleźć w sobie inne ugrupowania narodowe, dojrzewające na ziemiach polskich, w pierwszym zaś rzędzie narodowość ukraińska, strażniczka fascynującego mitu czarnomorskiego. Wspólność interesów Ukrainy i Polski została stwierdzona ponownie wyprawą kijowską Józefa Piłsudskiego. O tym zapominać nie wolno.

Na froncie interesu polskiego stoi sprawa chłopska. Zwarta masa ludu trwa w najgroźniejszym zaniedbaniu. Nie można tego grzechu inaczej nazwać, gdyż nader skromnych i fragmentarycznych wysiłków dobrej woli i, niestety, pańskiej łaski, realizowanych mozolnie i bezładnie na terenie wsi, żadną miarą za akcję uplanowaną uznać nie podobna. Panuje przekonanie, że wieś może poczekać, że na jej ugorach jeszcze się nie pali. Ale nam w tej chwili nie idzie o wiejską sielankę, lecz o interes państwa. Interes ten zaś bezapelacyjnie wymaga, aby budzący się instynkt masy chłopskiej w nim widział swoje urzeczywistnienie. W podobny sposób interes ten wymaga zespolenia mas proletariackich. I na tym się kończy rysunek schematu.

Unikając wszelkich baroków pseudo-organizacyjnych i zbędnego werbalizmu gospodarczego, streśćmy w najkrótszym zarysie najważniejsze, logiką rzeczy podyktowane, tezy programowe podstawowego schematu polskiego. Oto one:

Na terenie chłopskim:

a) racjonalizacja przydziału ziemi przy uwzględnieniu rezerw, pozostałych w formie wielkoprzestrzennych gospodarstw oraz koniecznych rezerwatów leśnych,

b) celowe zagospodarowanie ziemi chłopskiej w oparciu o organizację stacji maszynowych i warsztatów przetwórczych;

c) konsekwentna organizacja zbytu produktów gospodarki chłopskiej przy pomocy odpowiednio urządzonego własnego aparatu wymiany.

Na terenie robotniczym:

a) koncentracja kapitałów inwestycyjnych oraz dyspozycji kapitałowej w rękach państwowych,

b) planowy rozwój warsztatów pracy oraz planowe zatrudnienie zarówno rasowych mas proletariackich, jak i rezerw roboczych napływających z terenu chłopskiego,

c) stabilizacja społeczna proletariatu drogą wprowadzenia potrzebnego kapitału w urządzenia jego komfortu życiowego.

Jeżeli uzupełnimy ten program organizacją instytucji oświatowych, gwarantujących całej młodzieży należne jej prawo równego startu w wyścigu intelektualnym, organizację powszechnej służby zdrowia i na koniec organizację wewnętrznych central rozrachunkowych między poszczególnymi grupami producentów, otrzymamy pełny obraz narodzonej z prymitywu Betleemskiej stajenki nowoczesnej społeczności.

Zasadą, której przy rozstrzyganiu wszelkich spraw życiowych pilnie przestrzegać należy, jest pewność, że reprezentantem kosmicznych sił w świecie naszej dyspozycji jest nie kto inny jak poszczególne indywiduum ludzkie. Człowiek jest źródłem działania w tym świecie, o jego więc wywyższenie zabiegać należy. Wiecznie samotny i jedyny twórca coraz to nowego kształtu rzeczy doczesnych, winien stać w ośrodku naszej czujności.

Położenie polskiego *no man's land'u* wymaga, aby każdy członek zbiorowości, żyjącej na tak bojowym terenie, gotowy był stać się twierdzą oporu przeciw wszelkiej próbie bezceremonialnego wkroczenia na wspólne podwórze. Najwyższy zatem czas zerwać z metodą biernego wypatrywania zdarzeń siły wyższej i rozpocząć konieczny remont zaniedbanej dziedziny, gruntując jej odporność w świadomej woli zbiorowej mas, pełnych dzisiaj nieufności i głębokiego niepokoju. Zdobycie serca tych mas dla wspólnej im sprawy nie przedstawia bynajmniej jednak łatwego zadania. Zbyt wiele nazbierało się w tych masach goryczy i gniewu, aby można było załatwić tę sprawę, ryzykując tylko niewinny uśmiech łaskawego pobłażania. W każdym jednak wypadku bezpośredni udział mas ludowych w organizowaniu i wspólnoty narodowej i jej zabezpieczenia jest nakazem dnia. Tak, jak dziś rzeczy na terenie rasy białej stoją, udziału tego uniknąć niepodobna: nie uniknęła go nawet Rosja, której głębokie masy chłopskie od wieków przyuczone były do niemego posłuchu.

I jedna jeszcze na koniec uwaga. Heroizm walki polskiej o świętość swego celu w nieznanej oddali stać się może wielkim drogowskazem dla wielu narodów rozległej słowiańskiej rodziny. Aglomerat słowiański jest dzisiaj w rozsypce. Czy nie byłoby słuszne, aby nordyzmowi ludów germańskich przeciwstawić potęgę słowiańskiej, dojrzewającej i bohaterskiej, wspólnoty? Wspólnoty, której wyrazem jest nie zdobywca, lecz organizator gromadzkiego szczęścia i pokoju? Oto wyznawca wielkiej Demetery, tajemniczej rodzicielki synów Bożych, dziedzic wspaniałej kultury greckiej, opartej o głębokie misterium ziemi, łamie w swym nasileniu zjadliwe brzemię wewnętrznej dyktatury i cudzej inwazji, niosąc ludzkości spokojny dobrobyt, zbudowany przez czynną wolę rozległych zespołów. Wydaje nam się, że Polsce przypadła rola pionierska w tej rozpoczynającej się sprawie. Tutaj może kryje się konieczny sens przez los przydzielonej nam krzyżowej drogi heroizmu.

Adam Uziembło

DWIE KSIĄŻKI M. WAŃKOWICZA

II. Na tropach Smętka — widzowie i uczestnicy

Było to na jednym z przyjęć dziennikarzy w okolicach frontu jeszcze za czasów wojny. Przyjezdni to i owo zobaczyli, jeszcze więcej posłyszeli — i... zwykłym trybem — zasiedli do stołu. Jeden z wyższych oficerów powitał ich niezbyt udałną mówką, podnosząc rolę budzicieli entuzjazmu, twórców woli niezłomnej i t. d. Któryś ze słuchaczy przyjął to wszystko dosłownie i, pragnąc uczcić „szarego żołnierza" koleżeństwem i własną dostojnością, oświadczył z emfazą: „dziennikarz jest też żołnierzem! Musi on dotrzeć wszędzie! W służbie swojej idzie aż na pozycje frontowe..." no i tak dalej. Uwierzył biedak w to, że po ujrzeniu przez jeden dzień trudu prostaczków w walce — został jej uczestnikiem. Przecie on duchem jest tam, gdzie śmierć kosi.

Oczywiście, że dostał brawa. Co po tym napisał? Ha — różne rzeczy. Opisał — to co widział, a przekonany o swym uczestnictwie — uznał to, co widział za — wszystkość. I była jego pisanina właśnie tyle warta, co owe duchowe uczestnictwo, owa łaskawa „żołnierskość". Stanowisko fałszywe stworzyło fałsz.

Nim zaczniemy coś opowiadać, nim zaczniemy coś obserwować, trzeba sobie zdać sprawę z naszego punktu widzenia. Co możemy z niego ogarnąć? Co możemy ujrzeć? Czego wypadnie się domyślić? Co nam będzie podpowiadać nasze nastawienie wewnętrzne? O ile to nastawienie płynie z zainteresowania w sprawie? Milion temu podobnych pytań, w sumieniu własnym, w sumieniu pisarskim, a jeżeli kto chce i społecznym, i narodowym, i politycznym — należy przegryźć, przełamać, przeważyć — aż siebie samego człek uświadomi. Wtedy otwieraj oczy i patrz! — nastawiaj uszy i słuchaj. A zawsze pamiętaj o tym artykule z regulaminu służby polowej, który nakazuje rozróżniać to coś widział od tego coś słyszał. W meldunku rozróżnienie to obowiązuje bezwzględnie.

Wańkowicz z córeczką, Tilusią (żartobliwe przezwiska pominiemy świadomie, uznając je za przywilej najbliższych), wyrusza w kraj Mazurów Pruskich*). Chodzi o wakacje. Wszystko; przygotowania, towarzystwo, opisy map, zwyczajów kajakowiczów — wszystko to stanowi wstęp, wprowadzający czytelnika do sprawy, przez poddanie mu lekkiego rytmu, w którym będzie pochłaniał książkę, a równocześnie wszystko to umiejscawia nam osobę pisarza, odcina go od tragedii, jaką niebawem odsłoni. — Jesteśmy z nim razem i razem będziemy patrzyli na szereg obrazów. Zapadły mu one w duszę, zapadły wyraziście, mocno. Ułożyły się we wstęgę filmową, nakręconą przez operatora naprawdę pierwszej wody. Teraz ten operator luźnymi uwagami uzupełnia obrazy.

Jest między nami i panna Tili. Bo rola jej w tym wszystkim jest niezmiernie poważna. Jeżeli chodzi o traktowanie tematu, obecność tej dziewczynki zawsze przypominać nam będzie, że ogląda to wszystko turysta. Tak jest od zewnątrz. Wewnętrzne znaczenie jej roli było jednak jeszcze głębsze. Sam Wańkowicz patrzał na ludzi, spoglądał na wypadki — szukał dnia powszechdniego — ale jego dzień powszedni urobiony jest bardzo odmiennie od dnia Mazura z pod Mikołajek czy Szczytna. Ten duży pan, zażywny, jowialny, zapewne, interesujący jest ale daleki dla chłopa, nie był nigdy kimś, co by to mógł po sąsiedzku pójść z nim w pole. Jego strój, jego wygląd i „wygadanie" zawsze tworzyły pewien dystans. Dziecko-Tili — to coś bliskiego. Ktoś, kto nie nastręczy obaw, nie wzbudzi podejrzeń. Dziecko posiada nieporównanie więcej warunków wejścia w środowisko, porozumienia się z nim, bo o interesowności jego nie może być mowy. A jeżeli Tilusia mogła tam, na Mazurach, z rówieśnikami, czy rówieśnicami bąki zbijać, jeżeli wobec niej urywało się kaleczenie niemczyzny i gadano o kwiatkach, krowach, rzekach, strumieniach, ptakach i rybach po polsku — to był to istotnie sprawdzian pewnego stanu polszczyzny.

„Dułoia ze mnie złobiłeś" — powiedziała bohaterka nasza po przeczytaniu korekty książki, powiada Wańkowicz. Nie, panno Tili, myli się pani. Dzięki osobie pani Tatuś mógł nam dać atmosferę niezmiernie czystej i prostej prawdy w swoim opowiadaniu. Dzięki wprowadzeniu do jego toku wszystkich uciesznych przygódek, lodów, potworków, czekoladek, prześmieszków, idziemy wciąż po twardym gruncie, po ziemi, nie próbując uciekać w krainę fantazji, krainę, w której człowiek czuje, że pod nogami miękko i łudzi się, że to rozemglenie, choć może to być pospolite bagno... kłamstwa.

Otóż z tego stanowiska patrzymy. I wszystko, co ujrzymy, będzie do nas przemawiać samo. Ujrzymy sprawę Mazurów pruskich. Fakty. Dla wyjaśnienia sięga Autor do dziejów, do statystyki, do dokumentów. Dużo się ich nagromadziło — bardzo dużo. Bo wrażenia stawały nieraz w postaci pytań, pytań tak ważkich, tak mocnych, tak przejmujących, że nie można ich zostawiać bez odpowiedzi, że tej odpowiedzi pożąda cała istota. I kiedy Wańkowicz dobywa jakieś szpargały, otwiera karty książek ciekawych i nudnych, naukowych i propagandowych, jedzie sprawdzać to i owo wśród ludzi pospolitych, płaskich, otumanionych, kiedy przytacza szeregi cyfr, to nie odczuwamy ciężaru balastu naukowego, owszem, czekamy na więcej, by uzupełnić obraz, wykończyć szczegóły jego konturów, zajrzeć w głębinę cieniów, ocenić siłę świateł. Wańkowicz nie przygniata ogromem swego materiału naukowego — używa go tyle, ile trzeba do otrzymania pełni ekspresji.

Oto jest skala środków, użytych przez Artystę, skala niepowszednia — powiedzmy — wyjątkowa, w wymiarach światowych rzecz biorąc. Tak, książka ta stanowi chlubę naszej literatury.

*

Przejdźmy do tematu. Kiedyś bakała, spoglądając w uśpiony kraj Pojezierza Mazurskiego, kraj tysięcy jezior, kraj cudownie piękny, ziemię, z której pochodzili królewscy gwardziści, najbardziej ze swojej służby dumni, a z których każdy na pytanie, kim jesteś, odpowiadał: Prusok! — ukuła zdanie: „*was muss sterben — lass ruhig sterben*". Ś. p. Stanisław Zieliński, kiedy jeszcze przed wojną jechał do Szczytna redagować polskie pismo, otrzymał ponoć dwieście adresów. Kiedyśmy jechali organizować tam akcję plebiscytową, nieraz spotykaliśmy chłopa, co to po krótkiej rozmowie mierzył nas dobrotliwym wzrokiem i gadał: co tu po panu? co po psu w kościele... A gdy w hoteliku w Ełku po polsku się zagadało do służby, to wystawione buty wjeżdżały z powrotem do pokoju wraz z komentarzem: kiedy oni mówią po polsku, niech se sami buty czyszczą.

W czasie plebiscytu ułamek procentu obywateli opowiedział się za nami.

Ale po plebiscycie już przestano gadać o zachowaniu rezerwatu mazurskiego. „Smętek" chwycił za mizerikordię, by dobić pokonanego. Dobijano strasznie. Tysiące ludzi opuściło kraj... Mizerikordia nie wystarczyła. Porwano kije, kamienie, karabiny. Padali ranni — trupy zalegały ziemię. Ziemia się nie broniła. Słabe próby tworzenia szkół zamierały w zarodku. Na widok żandarmów wypadały ludziom z rąk karty abonamentowe na pisma polskie. Dezaprobata zażywnych jejmości w prze-pysznych fartuchach tłumi każde słowo polskie. Przykład wspaniałych defilad, uroczystości, obchodów, ciągnie młodzież w szeregi Hitler-jugend. Ziemia się nie broni.

Ale oto w knajpie, kiedy ktoś posłyszy mowę polską swobodną, mowę, jaka rozbrzmiewa na ulicach Warszawy — nagle rozraduje się i czeka i porównuje — jakże dźwięczą te słowa? I słucha, jak w dumne linie układa się jego wzgardzona gwara, brzmiąca w ustach przybysza, — coś jak fanfara zwycięstwa.

Czym że jest owo radosne poruszenie?

Ono to nie daje spać wszelkiego rodzaju Smętkom i smętniątkom. Ono każe czuwać tysiącznej rzeszy żandarmów. Ono rozbraja całe roje urzędników, żarłoków, organizacji. Ono każe wiecznie stać na straży niemieckości wszystkiemu, co tutaj żyje. Więcej — to coś nieokreślonego, coś nieuchwytnego, porusza bez przestanku wszystkie umysły w Rzeszy i pcha tu bez końca miliony, setki milionów, co raz szerszą, co raz obfitszą strugą. Niemcy nie mają co jeść, ale pieniądz na Mazury być musi. Niemcy rujnują swą gospodarkę, ale muszą ją dostosować do potrzeb Prus Wschodnich. Niemcy cofają się, ale muszą iść naprzód w tym Grenzenlandzie. Wszystko — cała polityka niemiecka — musi być przystosowane do posiadania, do umocnienia się w tej kolonii, zdobytej przez Krzyżaków.

Nie ma ofiar, przed którymi by rządy niemieckie się cofnęły. Nie ma też łajdactwa, niema gatunku przemocy, od morderstwa, bojkotu i zagłodzenia, aż po najnikczemniejszą prowokację, jakiej by tu nie zastosowano.

A przecież — fanfarą zwycięstwa brzmi polskie słowo przywiezione z Warszawy.

Smętek nie widzi wroga — tylko go czuje. Czuje w powietrzu — czuje w bezdennym pognębieniu ludzi, czuje w ich rezygnacji i rozpaczy, czuje we własnej polityce, grożącej ruiną. Smętek zdaje się chwilami widzi, że tu, właśnie na tych polach, w tych lasach, w tej krainie tysięcy jezior, musi nieustannie stać na straży, musi wytężać siły w walce z czymś, co pozornie jest nie tylko pokonane, ale martwe. Stąd cała gospodarka tu — to coś monstrualnego, to niby próba obłąkanego — odwrócenia stron świata, uczynienia Wschodu Północą. Tak — dosłownie!

Plastyka obrazów Wańkowicza jest olśniewająca, przemawia z siłą przekonania, wyczucia, nauki, przemawia całą prawdę życia.

*

I jest książka Melchiora Wańkowicza czymś jeszcze — jest odpowiedzią na nasze koncepcje polityczne kół pewnych, jest sprawdzianem dla naszej polityki zagranicznej poprostu.

Ileż Polaków żyje na tej ziemi? Dosięga ich liczba dwuch setek tysięcy? Może przekracza? No — ćwierć miliona? Trzysta tysięcy? — I czemuż życie gospodarcze całych Niemiec do walki z ich utajoną polskością jest skierowane? Czemuż to właśnie tu druzgoce się ustawy, prawo, przekreśla logikę życia? Czemu to właśnie ten spłacheć ziemi dyktuje takie lub inne programy? Jak wytłumaczyć, że właśnie tu, w najskrajniejszych, najbardziej zacofanych kołach, wśród najwierniejszych z wiernych, tronowi, rządowi, czy Fuehrerowi, gdy

*) Melchior Wańkowicz: „Na tropach Smętka". Str. 371, (drzeworyty, mapy, rysunki, fotografie). Warszawa, 1936. Wyd. Biblioteka Polska.

tylko pomoc pieniężna zawodzi, rozlegają się, niemieckie głosy szantażu politycznego, gotowe zapowiedzieć wszystko nawet — dążenie do niezawisłości? Czy to naprawdę wynika tylko z samego istnienia tej garstki Mazurów? A może przyczyna tego jest inna? A może przyczyną tego jest fakt, że na całej granicy, od Gdańska do Litwy, przylega ten kraj do — Rzeczypospolitej?! Do tej wspaniałej, pracującej, dźwigającej się, rosnącej w siły i świadomość Ziemicy — przed dziesięciu laty „sezonstaatem" zwanej — dziś... zaprzyjaźnionego mocarstwa?!

To nie Mazurów, to historii lęka się Smętek. To przed historią ogarnia go szał przerażenia. To pogwałcony głęboki sens dziejów tej ziemi, tępiony tam jest i pałką, i kijem, i kulą, i gwałtem, i przemocą, i bojkotem. Książka Wańkowicza powiada to na każdej stronie, w każdym zdaniu, w każdym wierszu i pomiędzy wierszami. Nic na to nie poradzą umowy, nic nie zdziałają przymierza. Tu, na tej ziemi, dzieje nie są pisane atramentem, pisały je krwią miecze krzyżackie, korygowały grunwaldzkie boje, hufce polskie, a jeszcze potem setki lat trwające gwałty kurfirstów i bohaterstwa związków Jaszczurczych i znowu gwałty i gwałty bez końca, aby tylko odsunąć to, co jeszcze Orzechowski mianował „egzekucją Korony Polskiej". Plebiscyt przegraliśmy, lecz „egzekucja" wciąż straszy zwycięzców.

Wańkowicz „gotów jest wierzyć, że kanclerz Hitler ma o wiele rozleglejsze plany, niż kłótnie przygraniczne". Wolelibyśmy zastąpić w tym miejscu nazwisko przez pojęcie szersze — naród niemiecki — pojęcie ogarniające nie tylko dziś — ale jutro. Pojęcie większe niż setki lat przeszłości, zastygłej w dziejach, bo obejmującej również życie przyszłości. Otóż, wyrazem tej wiary, która niejako przeciwstawiona jest wszystkiemu co widział i wie o dniu dzisiejszym, jest przytoczony przezeń za Żeromskim obraz z zamierzchłej przeszłości.

„Markgrafowi Geronowi zastąpił drogę jakiś ciemny, a podstępny Mieszko. Spojrzeli sobie w oczy — i o dziwo! — postanowili zawrzeć zgodę".

*

W książce „Na tropach Smętka" mamy wstrząsający opis tajemniczej śmierci „Zielonego chłopaka" — nauczyciela, co tam pracował i — zginął.

Kiedyś w tej jego wiosce stanąć musi pomnik dla bezmiaru pogodnej i rzeźwą nadzieją pojącej ofiary — człowieka, który do końca patrzał w świat z wiarą i radością. W to wierzę. A zwycięstwem odniesionym na ponurej postaci Smętkowej, zwycięstwem całkowitym, bezwzględnym, byłby fakt, by u stóp tego pomnika legły z terenu Prus Wschodnich wieńce polskie obok — niemieckich.

Byłby to symbol prawdziwego i głębokiego pokoju, który by sięgnął do głębi wciąż jeszcze niespokojnej ziemi wschodnio-pruskiej, do głębi serc jej mieszkańców.

Dziś na tej ziemi tego pokoju nie ma. Nie ma go w sercach — nie ma go i w życiu.

Tak powiada prawda odsłonięta przez Wańkowicza.

*

Forma książki — piękna. Wydawcom należy się słowo uznania za prawdziwie artystyczne dzieło grafiki. Wspominając o tym, spełniamy miły obowiązek. A ograniczamy do tych kilku słów naszą uwagę, gdyż czytelnika pochłania treść tak dalece, że najpiękniejsza nawet forma w cieniu zostaje.

SPROSTOWANIE

Do poprzedniego artykułu o „Strzępach Epopei" wkradła się pewna niejasność, którą prostujemy. Zdanie, począwszy od w. 18 l szp. str. 6 z dołu brzmieć winno:

„bezwzględności w ujawnianiu wszystkiego co człowiek o określonej tendencji wolałby nieraz ukryć i przemilczeć", itd.

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ 1914 – 1918

R. W. Horoszkiewicz

Pisarze w legionach

W I-szej Brygadzie zasadniczo pisano dużo... Szczególnie, gdyśmy stali dłużej w jakiejś okolicy. Ale nie o listach chcę pisać dzisiaj, ani o pracy naszej poczty polowej... Pozbierać chcę wspomnienia wogóle „literackie"... O literatach przede wszystkim, z którymi zetknąłem się w Brygadzie.

U kolebki więc I Brygady, w Oleandrach jeszcze, w sierpniu 1914 roku, w Krakowie, trzej stali literaci: Wacław Sieroszewski, Gustaw Daniłowski, Juliusz Kaden-Bandrowski. Pamiętam doskonale siwego konia, na którym jeździł Daniłowski w Kieleckim, wiecznie zamyślony, przez swe roztargnienie stale odcięty od otoczenia. Pamiętam Sieroszewskiego z tornistrem i karabinem, zanim go Belina wsadził na konia.

I jeszcze czwartego literata pamiętam z sierpniowych czasów. Przyszedł raz do mnie, na wspólną kwaterę, w skrzydle pałacu biskupiego w Kielcach, strzelec o inteligenckiej twarzy, w binoklach, z karabinem i tornistrem. Przedstawił się: „Choynowski". Miał jakąś służbę łącznikową, czy ordynansową, a ja byłem podoficerem dyżurnym. I odblask — wspomnienie owych dni znalazłem później w jednej z książek Piotra Choynowskiego...

Z Sieroszewskim spotykałem się częściej. Zanotowałem np. w pamiętniku dnia 12 października 1914 r. w Jakubowicach: „Przyjechał dzisiaj „Sirko" z Krakowa. Komendant (zdrowszy obecnie) razem z Sirkiem, Funiem i Suszkowskim, grają w winta. Zanosi się na dłuższy postój." Już 14.X. wyjechałem jednak z Jakubowic do Ostrowca, gdzie też 15.X. przyjechał również Sieroszewski, jako nasz komisarz ostrowiecki i kierownik werbunku do I Brygady. Staliśmy tam na wspólnej kwaterze w plebanii do 28.X., a od 29.X do 1.XI. cofaliśmy się taborami z 6 wozami i 32 ludźmi przez Nową Słupię, Radlin i Daleszyce do Brzechowa, gdzie spotkaliśmy Brygadę idącą od Lasek. Opisał Sieroszewski te czasy w opowiadaniu drukowanym w II tomie „Wspomnień Legionowych" (wyd. 1925 r.) p. t.: „Odwrót z pod Ostrowca".

Najczęściej jednak od 1914 do 1917 r. spotykałem się z Kadenem. Charakterystyczne spotkania! To w czasie marszu, gdy konie nasze trącały się bokami, — to w lesie pod Łowczówkiem, gdzie w dzień Bożego Narodzenia 1914, minąwszy właśnie rannego Herwina, spotkałem zaraz Kadena, z oczami czerwonymi od niewyspania, ciągnącego skrzynkę z amunicją, a kule rosyjskie nieprzerwanym potokiem szły wokół nas... To w pustym dworze, w Lipnicy Murowanej, 3 stycznia 1915 r., gdzie rozmawialiśmy, siedząc na podartej kanapie, w pustym salonie, z którego ściany patrzył na nas samotny portret młodej panny z kwiatem.

Z 1914-tym, z sierpniowymi dniami w Kieleckim, wiąże się jeszcze postać Andrzeja Struga, „siedemnastego ułana Beliny". — Książka jego „Za wierną służbę" — jak żadna bodaj inna dotychczas — oddaje nastrój i opisuje przeżycia strzelca-Beliniaka... Strug zresztą długo służył w I Brygadzie. W 1916-tym pamiętam go w polu, na czele szwadronu...

A piątym literatem był — w r. 1915 do Brygady przybyły — Marian Dąbrowski. W czasie walk pozycyjnych pod Optową, w 1916-tym, wędrował on od kompanii do kompanii, od plutonu do plutonu, wypytując nas szczegółowo: „a co?, a gdzie?, a jak?..."

Osobną grupę stanowią pamiętnikarze. Dużo ich było. Każdy prawie strzelec notował przecież przynajmniej daty i miejscowości, niektórzy zbierali piosenki i anegdoty... do nich należał przede wszystkim Dr. Sławoj - Składkowski.

Jako poeci-piosenkarze natomiast słynęli (piszę tylko na podstawie osobistych wspomnień) — Wieniawa i Lubicz.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski, to piosenkarz typowo strzelecko - legionowy. Śpiewano chętnie w trzecim batalionie 1 pp. jego piosenkę: „Chodź, bracie, między strzelce...". Zbyt on dużo zresztą ich napisał i zbyt charakterystycznych, by można z nimi załatwić się w pobieżnym szkicu. Niektóre ryzykownie jest przytaczać... Inne wkraczają już w polityczną satyrę...

Przypomnę tylko jedną scenkę, we dworze w Grudzynach, 1915-go roku. Przyjechałem ze wsi Tur, z 1 pułku, z jakimś meldunkiem do sztabu Brygady. Przywiązawszy konia na podwórzu, wszedłem do salonu, gdzie Nałęcz-Korzeniowski przywitał mnie wymownym „pssst".... W rogu pokoju przygrywał na pianinie szef Sosnkowski jakąś melodię, a Wieniawa podśpiewując notował tekst. Komendant Piłsudski chodził, prychając co chwila śmiechem... W pewnym momencie machnął ręką i wyszedł do pokoju obok. Wieniawa tymczasem skończył, wtedy oddałem Nałęczowi papiery i usłyszałem świeżo powstałą piosenkę.

Bolesław Lubicz-Zaborski to poeta innego typu. Z sentymentalno - rycerskich jego wierszy do dzisiaj śpiewana jest rytmiczna, chóralna pieśń: „Nie nosim rabatów, i szary nasz strój..." W spuściźnie swej pozostawił on też kilka rzeczywiście bardzo dobrych utworów, jak na przykład wiersz „Skończony pod Łowczówkiem bój..." Oszczędziła śmierć Lubicza w polu — tragicznie zmarł w pierwszym bodajże roku niepodległości w Warszawie.

Konkurował z Wieniawą Stefan Felsztyński. Jedna z jego piosenek do dzisiaj ze wszystkimi innymi konkurencję popularności wytrzymała: „Siedzimy tu w zagajach, rzędem na błocie..." śpiewał Felsztyński w 1915-tym nad Nidą o radościach i zmartwieniach ułańskich. I na dzisiejszych zebraniach legionowych stale się pamięta i przypomina: „„Odbieramy fasunki w chlebie i złocie..."

Z poetów służył też w 1 pp. Stanisław Falkiewicz. Pisał wiersze refleksyjne, o głębokim, filozoficznym podkładzie. Mniej był popularny, za to bardziej ceniony w zamkniętych, przyjacielskich kółkach.

Razem z Falkiewiczem służył w III batalionie 1 pp. — Szczapa. Słynny Szczapa, którego postać błąka się jeszcze dziś po wielu scenach amatorskich w Polsce. Prawdziwy „Szczapa" był zresztą sierżantem i nazywa się Karol Krzewski. Szczególny szczęściarz... Napisał jedną książczynę w 1916-ym, czy 1917-ym i stworzył „szkołę literacko-teatralną"!

Pisząc osobiste wspomnienia — piszę tylko o kolegach - legionistach, których znałem i znam osobiście... I piszę też przeważnie o 1 pułku piechoty... Służyli literaci i w 5 pułku... Nie znałem wszystkich z kawalerii i artylerii... Wspomnę tu jeszcze o dwóch — o Stanisławie Długoszu i Włodzimierzu Koniecznym... Obaj oni w 5 pułku służyli i obaj zginęli: Długosz w r. 1915, Konieczny w 1916... Konieczny znany był przed wojną jako poeta i rzeźbiarz, Długosz, — jeden z najwybitniejszych i najzdolniejszych przedstawicieli przedwojennej młodzieży krakowskiej, zostawił dużo wierszy głębokich i oryginalnych... Część z nich wydana została w tomiku „Przed złotym czasem"'...

Przesunęło się przed nami kilkadziesiąt nazwisk... Związane one wszystkie zamiłowaniem i zdolnościami do pióra... i służbą w I Brygadzie w owych dawnych, legionowych czasach, w latach 1914 — — 1917.

ZAGADNIENIA

J. S. M.

»Ojciec nieznany«

Tragedia dziecka nieślubnego po przez wszystkie czasy zaprzątała i niewątpliwie długo jeszcze zaprzątać będzie co żywsze umysły i serca. Prawo, socjologia, traktaty filozoficzno - religijne i moralno - obyczajowe, literatura piękna, — oto dziedziny, w których w każdej na swój sposób, temat ten, niby jątrząca rana, poddawany był pod skalpel bardziej lub mniej wnikliwych dociekań.

Zdawałoby się, tyle wszechstronne i na przestrzeni tylu wieków podejmowane wysiłki badawcze doprowadzić były winne do postawienia niechybnej diagnozy tudzież ustalenia niezawodnych wskazań, jeśli już nie uzdrawiających, to przynajmniej uśmierzających i umiejscowiających tę starą jak świat i, jak świat długi i szeroki, trawiącą ludzkość bolączkę.

Nie będziemy, w ograniczonych z natury rzeczy ramach artykułu, kusić się na porównawcze traktowanie przedmiotu, tak jak przedstawia się on w świetle ustawodawstw poszczególnych narodów od czasów starożytnych po dobę ostatnią.

Zainteresowania nasze, na dziś przynajmniej, idą przede wszystkim w kierunku oświetlenia *położenia prawnego dziecka nieślubnego w Polsce* i to nie w całokształcie zagadnienia, które pod wypróbowanym patronatem Komisji Kodyfikacyjnej znajduje się już na szczęście w toku daleko, jak się zdaje, posuniętych prac unifikacyjno - reformatorskich, ale w drobnym stosunkowo, acz nie mniej zagadnienia tego wielce doniosłym fragmencie.

Tytułem najogólniejszej ilustracji położenia wskażemy na mało niewątpliwie szerszemu ogółowi znany fakt, iż na obszarze naszych województw wschodnich zachowały po dziś dzień w omawianym zakresie moc obowiązującą przepisy rosyjskie, duchem swym nawiązujące chyba już nie do reformatorskich bądź co bądź poczynań Piotra Wielkiego, ale bodajże do ponurych praktyk epoki Iwana Groźnego.

Jakżeż bo inaczej wytłumaczyć zjawisko, iż w świetle przepisów tych elementarna instytucja prawna: uznania dziecka nieślubnego przez ojca zgoła nie istnieje, że dziecko nieślubne nie ma nawet prawa do nazwiska rodowego matki, które otrzymać może w wyjątkowych tylko przypadkach — za jej samej *tudzież ojca jej przyzwoleniem* — że wreszcie z zasady nazwisko dziecka jest wytworem okoliczności czysto przypadkowych, utworzone zostaje bowiem od t. zw. „otczestwa" (patronimicum) przygodnego świadka obrzędu religijnego (kuma).

Skoro tym ostatnim jest więc np. imć Akakij Akakijewicz (syn Akakiusza) Baszmaczkin — nazwisko nieślubnego chrześniaka opiewać będzie: „Akakijewicz".

Już to „otczestwo" wogóle, t. j. system obowiązkowego, gdzie trzeba i nie potrzeba, legitymowania się imieniem ojca, system stanowiący jedną z niewiedzieć po co pokutujących dotychczas w naszym życiu publicznym spuścizn po wschodnim zaborcy, jest największym nieszczęściem dziecka nieślubnego, prześladującym go od kolebki do grobu.

Zaledwie taki owoc „grzesznej miłości" pierwszym spojrzeniem obejmie kształty rzeczywistości, już go ta rzeczywistość, niby wilczym na całe życie obejmie biletem, czy piętnem hańby: „ojciec nieznany", albo brutalniej jeszcze: „dziecko nieznanych rodziców".

Tak bowiem bezlitośnie — i jak wyrok bezapelacyjnie — opiewa sporządzony, a w życiu każdej jednostki najbardziej podstawowy akt, jakim jest akt urodzenia.

Z taką legitymacją, źródłem nieschodzącego rumieńca wstydu i upokorzenia, idzie w życie szczególny twór: dziecko bez ojca, częstokroć i bez matki, w gronie domowników — intruz, w społeczeństwie szerszym — parias! Pod tego rodzaju wpływami kształtuje się dusza jego.

Ileż to razy, już w pierwszych latach szkolnych, obuchem w serce dziecięce, bardziej przeczulte, niż zrozumiałe, wali podsłuchane, czy w twarz wręcz rzucone wyzwisko: „bękart", „znajda".

Gdy cokolwiek podrośnie napiętnują je tak po raz drugi, tym razem dowodem osobistym z nieodstępną znowuż rubryką: „ojciec".

A potem tak już ciągle, w każdym, codziennym zetknięciu z życiem, będzie to w toku poszukiwania pracy, przy sposobności stawiennictwa w sądzie, bądź w urzędzie, z tytułu wykonywania prac i obowiązków obywatelskich, w służbie wojskowej, czy podczas spełniania funkcyj wyborczych, przy zapisie do instytucji naukowej, kulturalnej, zawodowej, z racji zawierania małżeństwa i t. p. i t. p. — zawsze, wszędzie to pierwsze okrutne pytanie, zawsze, wszędzie ta plama krwawa niezmazalnej pieczęci, to z ducha Polsce obce, bo w języku nawet nieznajdujące odpowiednika: „otczestwo".

Po śmierci nawet, ledwie krew w żyłach zakrzepnie, wycisną mu je raz jeszcze w ostatnim z tego świata akcie — akcie zejścia...

*

Z inicjatywy istniejącego przy Lidze Narodów Komitetu Ochrony Dziecka, Rada Ligi na odbytym w maju 1932 r. 72 posiedzeniu, postanowiła wystąpić do poszczególnych państw z zaleceniem:

1) rozpatrzenia możliwości dopuszczenia w obrocie prawnym w charakterze dokumentów o pełnych znamionach wiary publicznej, zamiast obowiązujących dotychczas odpisów z aktów urodzenia, skróconych z tychże aktów wyciągów, któreby nie ujawniały danych z zakresu pochodzenia dziecka,

2) zbadanie, czy z innych również dokumentów publicznych nie dałoby się wykluczyć wyżej wspomnianych, niejednokrotnie zaś dla dziecka tak bardzo krzywdzących danych.

Do wniosku dołączono wyniki rozpisanej na ten temat ankiety, ilustrujące stan podniesionej kwestji w poszczególnych krajach.

Stan ten, przyznać trzeba, nie jest, naogół biorąc, zbyt budujący.

Znaczna większość ustawodawstw krajowych nie przewiduje, jak okazuje się, żadnych zgoła urządzeń, któreby szły po myśli wytkniętych przez Ligę zasad (Afryka Południowa, Belgia, częściowo Francja, Grecja, z nieznacznym in plus na obszarze województw zachodnich odstępstwem — Polska, Rumunia).

Niektóre ustawodawstwa czynią omawianym postulatom zadość w ograniczonym tylko zakresie, bądź chroniąc jedynie interesy dzieci nieślubnych, uprawnionych przez następne małżeństwo lub przysposobionych, bądź też nie przyznających wyciągom skróconym, nieujawniającym pochodzenia dziecka, pełnej mocy dowodowej, i dopuszczając zastosowanie ich w pewnych tylko ściśle określonych celach np.: szkolnych, ubezpieczeniowych, emigracyjnych i t. p. (Finlandia, Niemcy, Szwajcaria).

Do najliberalniejszych w dziedzinie tej zaliczyć należy ustawodawstwa Holandii i niektórych Stanów Ameryki Północnej np.: Marylandu i New-Yorku.

Pożyteczną wielce inowację wprowadziły stany Massachusetts, Michigan, Minnesota i Wirginii, stanowiąc, iż pełny wypis z aktu stanu cywilnego wydany być może wyłącznie na podstawie żądania sądu lub prośby matki.

Jak z przytoczonego w najogólniejszych zarysach zestawienia wynika, przed ustawodawcą polskim stoi otworem chlubne i jakże wdzięczne zadanie prześcignięcia w tym humanitarnym wyścigu innych państw, zarówno kontynentu jak i zamorskich.

Reforma winna iść w kierunku:

1) ustanowienia w zakresie danych odnoszących się do stanu cywilnego zasady ścisłej tajności i to nie tylko w zastosowaniu do organów prowadzących i przechowujących księgi stanu cywilnego, ale również w stosunku do wszystkich władz i urzędów, które z tego czy innego tytułu w posiadaniu tych danych znajdują się lub znaleźć mogą.

2) ścieśnienia w związku z tym koła osób uprawnionych do żądania pełnych wypisów z aktów stanu cywilnego przez dopuszczenie do występowania z takim żądaniem wyłącznie władzy w każdorazowym interesie urzędowym, bądź uznanym za dostatecznie uzasadniony interesie prywatnym (postępowanie spadkowe, sprawy małżeńskie), a nadto tylko osoby, której dany akt dotyczy,

3) wprowadzenia z mocą dowodową, równoznaczną pełnym wypisom z aktów urodzenia, skróconych z aktów tych wyciągów, wykazujących wyłącznie następujące dane: imię i nazwisko urodzonego oraz dokładną datę i miejsce urodzenia,

4) zastąpienia w życiu publicznym systemu „otczestwa", o ile ma on mieć na celu ustalenie tożsamości osoby, innym, i bodaj że bardziej niezawodnym jeszcze w tym względzie kryterium odróżniającym, w postaci np. ścisłego określania daty i miejsca urodzenia, przede wszystkim jednak usunięcia rubryk „imię ojca", „matki" z dowodu osobistego.

Zauważyć wypada, że niedwuznaczne, acz w pełnej mierze nierozwiązujące zagadnienia, tendencje w duchu tylko co przedstawionych postulatów, przejawił już, uchwalony dnia 9 marca 1931 r. przez Komisję Kodyfikacyjną R. P., projekt ustawy o aktach stanu cywilnego.

Przechodząc w ostatecznej konkluzji do oceny wysuniętych zasad, w oderwaniu od interesu prywatnego dziecka i poddając kwestię rozwadze wyłącznie z podstawowego stanowiska „salus Reipublicae", podnieść należy, że i z tego decydującego punktu widzenia wprowadzenie w życie omawianej reformy nie tylko nie grozi jakimkolwiek bądź uszczerbkiem *), ale wprost przeciwnie spodziewać się pozwala skutków, których wagi w ogólnym budżecie rzeczy publicznych lekceważyć nie wolno, a z których na pierwszym miejscu wymienić należy przemianę wielotysięcznej rzeszy dzieci nieślubnych, z luzem błądzącej, lękliwej, zgorzkniałej, zestarzałej przedwcześnie gromady potępieńców, wiecznych i naturalnych malkontentów i mizantropów—na równorzędną innym obywatelom siłę żywą narodu, świadomych obywateli, żołnierzy, robotników jutra, zasilających szeregi tych, których udziałem jest „wzmagać siły i potęgę Państwa".

Czyż tego rodzaju błogosławiony skutek sam przez się sprawy dostatecznie nie przesądza...?

---

*) Ci, którzy upatrują w każdej poprawie losu dziecka nieślubnego uszczerbek instytucji małżeństwa, błądzą. Dziecko nieślubne, z reguły owoc przypadku, zatracenia się w miłości, czy aktu przemocy, a związki uświęcone — to rzeczy niewspółmierne. Czy zresztą drogą krzywdy wogóle, krzywdy dziecka w szczególności, da się osiągnąć jakikolwiek cel godziwy?

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Goering w Rzymie

(z. d.) Dnia 13 stycznia przybył do Rzymu premier pruski Göring. Wizytę jego określono w Niemczech oficjalnie jako podróż wypoczynkową. Niemniej już w drugim dniu pobytu Göringa w Rzymie ilość czasu, jaki poświęcił on na rozmowy z Mussolinim i hrabią Ciano dowiodła, że niezależnie od celu turystycznego wizyta musiała posiadać ważny cel polityczny. Biorąc pod uwagę, że interwencja w Hiszpanii jest podstawą dokonanego niedawno zbliżenia między Rzymem a Berlinem, że jest żelazem, z którego wykuto „oś" Berlin — Rzym, łatwo się domyślić iż sytuacja w Hiszpanii stanowiła kąt widzenia, pod którym Mussolini i Göring rozważali politykę europejską. Nie może również ulegać wątpliwości, że celem tych rozważań było w pierwszym rzędzie ustalenie wytycznych dla dalszej wspólnej interwencji w Hiszpanii i akcji dyplomatycznej, do jakiej interwencja ta zmusza oba mocarstwa.

Niemcy i Włochy interweniują w Hiszpanii pod znakiem obrony cywilizacji europejskiej. Takie było motto wizyty hr. Ciano w Berlinie w końcu października 1936. Teraz w Rzymie „uzgodniona" polityka obu państw „autorytatywnych: zdaje się to motto znacznie rozszerzać. Ukazał się mianowicie 15 stycznia w *Tribunie* artykuł rozwijający tezę, że pod postacią walki wewnętrznej żywioły lewicowe walczą w Hiszpanii celem radykalnego zmienienia istniejącej obecnie sytuacji politycznej i europejskiego *status quo*. „Jeżeli Włochy i Niemcy zajęte są zmienianiem ustroju w Hiszpanii — pisze Tribuna — to nie dla samego faktu tej zmiany, tylko dla porządku europejskiego. Dotychczas zmiana ustroju w jakimś kraju europejskim nie zajmowała ani innych narodów, ani państw. Ale dzisiaj przemiana taka może mieć jaknajszersze następstwa międzynarodowe. Dlatego też wszystkim tym, co zdają sobie sprawę iż porządek międzynarodowy i system cywilizacji, w którym żyjemy, są zagrożone — narzuca się obowiązek zajęcia się tymi przemianami ustrojowymi". Czyli, innymi słowy, Niemcy i Włosi, uznawszy rolę „obrońców cywilizacji" za niewystarczającą dla gładkiego przeprowadzenia planów imperialistycznych, ubierają się teraz w mundury policyjne i zamierzają patrolować Europę w poszukiwaniu ognisk niebezpieczeństwa dla „porządku europejskiego", którego stróżami wyłącznymi chcą się zamianować; czując się mocno dzięki gigantycznym zbrojeniom, mają zamiar aplikować wolnym i niezależnym narodom swoje prawa i swój teror, swoją moralność i swoje więzienia. Doprawdy — powrót jeśli nie do Świętej Inkwizycji, to do Świętego Przymierza!

Plany Berlina i Rzymu nie mogą się zrealizować inaczej, jak za aprobatą Anglii. Dlatego też dyplomacja niemiecka i włoska pracują pilnie, aby przekształcić „oś" Berlin — Rzym na trójkąt Berlin — Londyn — Rzym. Obu mocarstwom autorytatywnym realizacja koncepcji takiej potrzebna jest tym bardziej, że pierwszym państwem europejskim, które chciały by one skontrolować w roli strażników porządku europejskiego, jest Francja. Od pewnego czasu prasa niemiecka i włoska zgrywają się w insynuowaniu, że na południu Francji istnieje de facto republika sowiecka. Perpignan określa się jako „dziurę", przez którą płynie do Hiszpanii niczym nie tamowany potok posiłków w ludziach i materiale wojennym. Dla prasy hitlerowskiej i faszystowskiej Francja jest niczym innym jak... bastionem bolszewizmu w Europie zachodniej. Bastion ten pragną Niemcy i Włochy „unieszkodliwić" i stąd apele pod adresem Anglii, aby zrezygnowała ze współpracy z Francją. „Współpraca z Francją szkodzi dobrej opinii Anglii" pisał 12 stycznia *Völkischer Beobachter*. Podobnie i w Rzymie współpraca Anglii z Francją jest przedmiotem nieustannych ataków ze strony prasy. Nie bez związku więc z tymi usiłowaniami, widocznymi od pewnego czasu na „osi" Berlin — Rzym, minister Eden wspomniał w przemówieniu swym, wygłoszonym w Londynie 12-go stycznia, o „niepokojącej tendencji", jaka ujawniła się w roku 1936, a która zmierza do podzielenia Europy na dwa wrogie obozy, hołdujące dwom skrajnym doktrynom politycznym. „Mam nadzieję i sądzę — mówił Eden — iż tendencja ta chyli się do upadku. Sądzimy, że jest rzeczą podstawową dla pokoju, aby cały nasz ciężar moralny i polityczny był rzucony przeciwko tej doktrynie wyłączności". Słowa te wskazują, że nadzieje na przekształcenie „osi" Berlin — Rzym w trójkąt Londyn — Rzym — Berlin są płonne. Berlin i Rzym, które obrały sobie za podstawę do współpracy tezę o konieczności „ratowania cywilizacji i bronienia porządku europejskiego", zaczynają brnąć w ślepą uliczkę. Ciasne było założenie, ciasna jest droga po której muszą kroczyć oba mocarstwa autorytatywne.

Irlandia i Wielka Brytania

(z. d.) Stosunki polityczne między wolnym państwem Irlandią a Wielką Brytanią nie są dobre. Wolne państwo Irlandia dąży otwarcie do zmienienia obecnej swej pozycji, która stawia ją w roli Dominium w ramach brytyjskiej Commonwealth. Choć Irlandia posiada już specjalne uprawnienia, dające jej w stosunku do Zjednoczonego Królestwa i Imperium swobodę większą, aniżeli posiadają inne Dominia, dąży ona jeszcze dalej. Celem, do którego zmierza premier irlandzki de Valera, jest całkowite uniezależnienie Irlandii w formie Republiki, związanej z Wielką Brytanią jedynie politycznym, wojskowym i gospodarczym sojuszem.

Abdykacja Edwarda VIII stała się sposobnością wyzyskaną przez Irlandię dla uczynienia ważnego kroku na drodze, wiodącej do całkowitej niezawisłości od Zjednoczonego Królestwa. Parlament w Dublinie uchwalił, że dotychczasowe funkcje Gubernatora, czyli przedstawiciela Korony, przejdą na przewodniczącego Izby. W ten sposób Irlandia pozbyła się ostatniego zewnętrznego przejawu łączności z Wielką Brytanią, jakim była osoba gubernatora Królewskiego. Należy się spodziewać, że w bliższej lub dalszej przyszłości de Valera uczyni nowy krok na tej drodze. Nie jest jednak wykluczone, że tym razem ewentualne zmiany konstytucyjne dokonają się drogą porozumienia z rządem w Londynie. Zdaje się wskazywać na to fakt, że poraz pierwszy od objęcia władzy, t. zn. od pięciu lat, de Valera, powracając do Dublina z podróży do Europy przez Londyn, zatrzymał się w stolicy Anglii kilka dni. Czas ten de Valera wykorzystał dla odbycia dwóch długich rozmów z ministrem Dominiów Malcolmem Mac Donaldem. Podczas rozmów tych rozważana była zapewne nietylko sprawa ewentualnej zmiany konstytucji irlandzkiej, ale taksamo sprawa Ulsteru. Ulster pozostaje nadal częścią Zjednoczonego Królestwa, wysyła przedstawicieli swych do Parlamentu w Londynie i nastrojone jest wrogo w stosunku do Irlandii niepodległej. Dążeniem de Valery jest właśnie przezwyciężenie tej niechęci i przyłączenie Ulsteru do Irlandii niepodległej.

Ponieważ Anglia występuje przeciwko wszelkim przeciwieństwom ideologicznym, przekształcającym się w przeciwieństwa polityczne, a ministrowie brytyjscy ironizują na temat chęci Niemiec i Włoch wznowienia „wojen religijnych", więc nie można się powstrzymać od uwagi, że właśnie Wielka Brytania jest jedynem w Europie państwem — jeśli pominiemy Trzecią Rzeszę i jej walkę z katolicyzmem — w którym toczy się nieustanna, i okresami nawet krwawa, wojna religijna. Rozbieżności polityczne między Ulsterem a Irlandią niepodległą wynikają przede wszystkim z faktu, że Ulster zamieszkują protestanci, a resztę Irlandii głównie katolicy.

Oto właśnie jeden z przykładów na to, jak przeciwieństwa ideologiczne przekształcają się w polityczne. Może właśnie dlatego Anglia z taką mocą przeciwstawia się chęci Niemiec i Włoch wszczęcia na nowo „wojen religijnych".

„Sekretarze rządowi" w gminach Czechosłowacji

(z. d.) Rząd czechosłowacki przygotowuje ustawę, która ma być wydana w formie dekretu, wprowadzającego do samorządów gminnych instytucję „Sekretarzy rządowych". Rząd uzyska prawo przydzielenia ich do każdej gminy, wedle własnego uznania potrzeby ingerencji w gospodarce samorządowej. Sekretarze rządowi będą mieli prawo brania udziału w obradach rad gminnych i ewentualnego zakładania veto przeciwko powziętym uchwałom. W szczególnych wypadkach rząd może przekazać na ręce Sekretarza całkowitą władzę gminną. I tak zresztą sekretarz rządowy ma być bezpośrednim zwierzchnikiem aparatu administracyjnego gminy. Przy tym instytucja Sekretarzy rządowych nie jest obmyślona celem dania rządowi możności ingerowania w gospodarce samorządowej jedynie w tych wypadkach, kiedy ulega ona przejściowym niedomaganiom. Mianowanie Sekretarza będzie oznaczało dla Gminy trwałą inowację.

Ustawa przygotowywana już jest od dość dawna. Rząd motywuje ją niezdolnością samorządów gminnych do wykonywania szczególnych zadań państwowych i wojskowych, jakie im powierzono w ostatnich czasach. Oczywiście oficjalne powody wprowadzenia Sekretarzy rządowych do Samorządów nie pokrywają się całkowicie z faktycznymi. Tak naprzykład powody natury wojskowej, związane z przygotowywaniem obrony kraju, stanowią dla rządu sposobność włożenia ręki do samorządów gmin nadgranicznych, które składają się w Czechosłowacji po większej części z ludności nie-czeskiej. Instytucja Sekretarzy rządowych jest więc fragmentem czechosłowackiej polityki wynaradawiania ludności obcej, Polaków, Niemców i Węgrów. Z punktu widzenia ogólnoczechosłowackiego instytucja Sekretarzy rządowych będzie nowym przejawem rozwijającego się w Czechosłowacji centralizmu.

Ustawa, przygotowywana przez rząd, spotyka się z ostrą krytyką niektórch z partii. Szczególnie silnie atakują ją socjaliści. Sekretarze mają być mianowani przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a Ministerstwo to opanowane jest przez agrariuszy. Socjaliści widzą więc w ustawie dążenie agrariuszy do opanowania administracji gminnej, tak, jak już opanowali administrację państwową. Nie jest wykluczone, że zostanie osiągnięty kompromis, w formie powierzenia wyboru Sekretarzy Radzie Ministrów. W takim razie uzyskano by nowy obiekt targów międzypartyjnych. Czy tak, czy inaczej — dla ludności polskiej w Czechosłowacji Sekretarze rządowi, mianowani przez Pragę, będą z pewnością sprężyną nowych jej prześladowań.

PRZEGLĄD PRASY

Sprawa surowców

W związku ze zbliżającą się sesją styczniową Rady Ligi Narodów i wracającą na porządek obrad tej sesji sprawą surowców, półurzędowa POLSKA INFORMACJA POLITYCZNA przypomniała szereg faktów, związanych z historią tego zagadnienia na forum Ligi Narodów. Aktualny stan sprawy surowców P. I. P. charakteryzuje następująco:

„Kryzys światowy dotknął najboleśniej państwa przeludnione, a nie posiadające zarazem ani surowców, ani kapitałów. Pozbawione możliwości znalezienia rynków emigracyjnych dla nadmiaru ludności, pozbawione możliwości znalezienia rynków zbytu dla swych towarów, pozbawione wreszcie znaczniejszych rezerw kapitałowych — państwa te, do których zaliczyć musimy również i Polskę, odczuwają szczególnie dotkliwie brak surowców, ułatwiających uprzemysłowienie kraju."

Przyczyna kryzysu surowcowego w chwili obecnej jest oczywiście częściowo inna, niż w pierwszych latach powojennych.

„Wówczas, władające surowcami państwa wahały się nasycić głód surowcowy państw nie posiadających, w obawie przed własnym niedostatkiem. Psychoza wojenna ciążyła jeszcze na gospodarce światowej. Dzisiaj natomiast państwa nasycone surowcami pozbyłyby się chętnie nadmiaru swej produkcji. Głód surowców dnia dzisiejszego nie oznacza bynajmniej, iż surowców jest mało na świecie. Istnieje po prostu paradoksalna sytuacja i z jednej strony widzimy w niektórych krajach względną nadprodukcję, z drugiej zaś strony w innych krajach jaskrawy głód surowców."

Sprawą surowców Polska, jako jeden z krajów „niezaspokojonych", zainteresowała się również.

„Zainteresowanie Polski dla posiadania odpowiedniego dostępu do surowców, zostało już zresztą zgłoszone przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych R. P. zarówno przed kompetentnym forum międzynarodowym, jak i wobec polskiej opinii politycznej, która, jak to wykazała ostatnia dyskusja w Sejmie, całkowicie poparła inicjatywę naszego Rządu."

O zwrot ku rynkowi wewnętrznemu

Konieczność skierowania naszej polityki handlowej na tory poszukiwania nabywcy wewnątrz kraju jest stałym refrenem polskich kół gospodarczych. Wypadki jednak, w których myśl ta doczekałaby się realizacji, należą do rzadkości i to, — jak podkreśla POLSKA ZACHODNIA (nr. 15 z 15.1) — przede wszystkim ze względu na panujące w kołach gospodarczych nagminne przesądy o braku siły nabywczej konsumenta polskiego, a zwłaszcza konsumenta na wsi.

Wyjątkiem jest tu w ostatnim czasie „Wspólnota Interesów", która poszła z towarem — węglem — na wieś — do konsumenta, zrywając z dotychczasową polityką całego niemal przemysłu polskiego, zwłaszcza skartelizowanego, polityką siedzenia z założonymi rękami i oczekiwania, aż klient sam się zjawi.

„Wspólnota pozakładała własne punkty sprzedaży po wsiach i na węzłowych stacjach kolejowych. Ceny dostosowała do możliwości nabywców regionalnych. Sprzedaży nie oddała w ręce ajentów żydowskich, od których chłop stroni i kupuje tylko to, bez czego absolutnie obejść się nie może. A efekt? Efekt taki, że tam, gdzie do niedawna z trudem lokowano 100 do 150 tonn, dziś sprzedaje się 1.500 tonn. Tak czy owak podjęte w dwu ostatnich latach próby wykazały, że wieś może być konsumentem węgla w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie tylko w aptekarskich dawkach."

To samo można powiedzieć o nafcie. Nawet bodaj z większą jeszcze słusznością.

„Bo dla nafty na niezelektryfikowanej wsi polskiej nie ma środka zastępczego, jakim w stosunku do węgla jest drzewo. Wieś dziś siedzi po ciemku, a przemysł naftowy, zamiast zainteresować się rynkiem, zamiast szukać — wzorem przemysłu węglowego — nowych nabywców, biadoli... na niskie ceny przetworów ropnych w Polsce... Racjonalna organizacja zbytu, propaganda, dostosowanie cen do realnych możliwości nabywczych konsumenta — oto są daleko skuteczniejsze sposoby podniesienia sumy utargu, aniżeli kurczowe trzymanie się wyśrubowanych cen, po których chłop, główny konsument nafty, i tak jej nabyć nie jest w stanie."

Wreszcie cukier. Producenci cukru powiadają, że muszą cukier eksportować za granicę, bo to daje krajowi dewizy. Argument ten był dobry wtedy, gdy się wywoziło cukru za 200 milionów. Ale dzisiaj, kiedy się wywozi cukru za niecałe 7 milionów, argument ten zawodzi. Czyż nie lepiej wzmóc tu konsumpcję wewnątrz kraju przez dalszą jeszcze obniżkę cen, która w rezultacie daje olbrzymi wzrost spożycia cukru w kraju?

„Deficytowy eksport jest wyprzedażą majątku narodowego, niczym nie uzasadnioną i nie znajdującą pokrycia w żadnych korzyściach ubocznych. Należy go więc zupełnie zaniechać. Natomiast rynek wewnętrzny przedstawia duże możliwości rozwojowe."

Uwagi swoje w odniesieniu do omówionego wyżej zagadnienia zwrotu ku rynkowi wewnętrznemu jako do kardynalnego postulatu naszej rzeczywistości gospodarczej kończy „Polska Zachodnia" następującymi konkluzjami:

„Omówiliśmy tu tylko trzy zasadnicze artykuły przemysłowe. Ale nasze wywody zachowują swą wagę także w odniesieniu do wszystkich innych.

Jesteśmy w okresie przełomowym koniunktury. Gros trudności, z którymi borykamy się od lat 7, mamy poza sobą. Wszystko zdaje się wskazywać, iż zbliża się okres przysłowiowych 7-miu lat tłustych. Nie wolno nam ich zmarnować. A droga do jaknajlepszego wykorzystania dobrej koniunktury prowadzi poprzez zdobycie dla produkcji przemysłowej najbardziej pewnego, bo własnego, krajowego konsumenta."

Dookoła prac płk. Koca

Sprawa budowania przez płk. Koca zrębów „nowej organizacji narodu polskiego" aktualizuje się znowu. Tym razem rąbek tajemnicy odsłania DZIENNIK POZNAŃSKI (nr. 10 z 14.1), — przynosząc kilka szczegółów programowych i organizacyjnych nowego obozu. Jeżeli np. chodzi o strukturę jego, to — według cytowanego pisma —

„z podjętych już pierwszych kroków organizacyjnych wnosić można, że nowy obóz w niczym nie będzie podobny do partii politycznej, czy do „monopartii", jak tego chcą niektórzy. Będą to organizacyjnie raczej szerokie ramy, w których zmieścić się będzie mógł każdy Polak."

Według „Dziennika Poznańskiego" są jednak ponoć siły, które robią na złość płk. Kocowi i uprawiają pewnego rodzaju sabotaż jego poczynań. Pisze on o tych sabotażystach co następuje:

„Byłoby to wszystko bardzo piękne, gdyby nie pewne zgrzyty, jakie już dają się wyczuwać.
Wszyscy bez wyjątku domagali się przyśpieszenia organizacji nowego obozu. Gdyśmy się dowiedzieli, że prace przygotowawcze są już na ukończeniu i że... bodaj ku końcowi stycznia prace te mają być w pewnym stopniu uzewnętrznione — znajdują się działacze — i to z pośród podobno bardzo wybitnych — którzy hamują te prace.
Konia z rzędem temu, kto ich zrozumie. Nie przeciwstawiają bynajmniej poglądów, mówią tylko niewyraźnie: jeszcze nie czas... słabo przygotowane... i t. d.
Najsmutniejsze byłoby, gdyby prawdą okazały się krążące wśród stołecznych sfer pogłoski, że idzie tu właściwie wyłącznie o rozgrywki personalne czołowych osobistości..."

No, więc... Teraz już moglibyśmy wiedzieć, o co właściwie chodzi. Tylko, że w dalszym ciągu „konia z rzędem" temu, kto zrozumie wyjaśnienia „Dziennika".

15-lecie Związku Polaków w Niemczech

Naczelna organizacja życia polskiego w Niemczech, Związek Polaków w Niemczech, obchodzi w roku bieżącym 15-lecie swego istnienia. Wspólnymi siłami, pod kierownictwem zasłużonych dla sprawy polskiej w Niemczech ludzi, stworzona została organizacja, której wpływ uwidacznia się w każdej dziedzinie życia społecznego elementu polskiego w Niemczech.

Na marginesie tego jubileuszu DZIENNIK BERLIŃSKI (nr. 12 z 16.1) kreśli następujące znamienne uwagi:

„Sam fakt posiadania silnej organizacji nie powinien osłabić twórczej naszej działalności, powinien być raczej bodźcem do coraz intensywniejszej pracy nad uświadomieniem narodowym szerokich warstw naszego społeczeństwa w Niemczech, nad coraz lepszym związaniem każdej jednostki z naszym życiem organizacyjnym.
Poczucie przynależności do jednego wspólnego pnia winno być motorem wszelkich poczynań i drogowskazem wszystkich naszych dążeń, bo nas wszystkich łączy jedna wielka idea, jeden wielki obowiązek narodowy, wypływający z faktu, że jesteśmy synami wielkiego, potężnego Narodu Polskiego, którego godnymi synami poza granicami państwa polskiego okazać się musimy."

Jeszcze »konsolidacja« i endecja

WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY (nr. 15 z 15. 1.) ustosunkowywuje się do wałkowanego ostatnio na łamach pewnego odłamu prasy codziennej zagadnienia „konsolidacji narodowej", czy „organizacji ogólno-narodowej" z gruntu negatywnie. Stanowisko swoje uzasadnia „W. D. N." następująco:

„Być może, że rozważania na tematy powyższe wypływają z istotnej troski o życie i przyszłość narodu, być może, że są one szczerym wyrazem uczuć, nurtujących ludzi z różnych obozów i odłamów politycznych. Mają one jednak jedną cechę — są zgoła bezprzedmiotowe, bo nie liczą się z rzeczywistością polską i z możliwością realizacji tego wszystkiego, bez bardzo gruntownych zmian w umysłach i w układzie stosunków."

Bo — powiada dalej „W. D. N." — straszenie nas „frontem ludowym", za którym stoją komuniści, i domaganie się w związku z tym tworzenia „frontu narodowego" jest akcją, polegającą na zasadniczym nieporozumieniu. Dlaczego? Oto, jeśli chodzi o t. zw. „front ludowy", to

„jest to związek, posiadający bardzo jasne wspólne zasady i spojony silnie przez stojące za nim loże i politykę żydowską. Cechą organizującej się w naszym kraju nowej „Demokracji" jest to, że ma ona stanąć po stronie żydów i dla ich interesów. Jeśli się chce przeto przeciwstawić tej robocie istotną siłę, to nie można powoływać do życia jakiejś luźnej koalicji, bez ustalonych zasad, bez programu pozytywnego, mającego tylko wspólne stanowisko negatywne — przeciw komunistom. Boć jasnym jest jak słońce, że jeśli się postawi wyraźnie zagadnienie żydowskie, a to trzeba zrobić, jeśli się chce utworzyć coś stosownego i zdolnego do czynu, to każde „zjednoczenie" czy „front" narodowy rozleci się natychmiast na cztery wiatry i na placu zostanie sama „endecja".

Jesteśmy więc u sedna rzeczy: z żydami, komunistami, z „frontem ludowym" da sobie radę jedynie i tylko endecja. Jest to zresztą stara, bardzo stara śpiewka endecka i dlatego dziwimy się, że na kawał z „konsolidacją" chce endeków nabrać i „Front Morges" i konserwa z Cat'em.

„Sądzimy tedy — pisze dalej „N. D. W." — że szkoda czasu i atramentu na rozprawy o konsolidacji narodowej wtedy, gdy na najważniejsze, najbardziej związane z obecnym okresem zagadnienia istnieją tak wielkie różnice poglądów, że jedni uważają walkę polityczną i gospodarczą z żydami za działanie równie ważne, jak przedwojenna walka z najazdem obcym, a inni są zwolennikami wysyłania tych Polaków, co taką walkę prowadzą, do Berezy."

Zatem — festina lente, czyli: śpiesz się powoli.

„Nie śpieszymy się tedy, nie usiłujemy zgromadzić w „obozie naro-

dowym" byle kogo i organizować go byle jak. Popracujmy raczej nad tym, by ustalić zasady, na których winna się opierać polityka narodowa w chwili obecnej, by uświadomić ogół o tym, jaka przepaść dzieli politykę polską od polityki żydowskiej.

W życiu społecznym ewolucja poglądów odbywa się powoli, nowe prądy, by owładnęły narodem, muszą same się skonsolidować, a naród musi dojrzeć do tego, by ich sens i znaczenie rozumiał. Proces tego dojrzewania w Polsce już się rozpoczął. Nie usiłujmy go zamącić przez niepotrzebny pośpiech i partacką robotę polityczną."

Na odcinku polsko-gdańskim

W związku z dokonaną zmianą na stanowisku komisarza generalnego Rzplitej w Gdańsku KURIER WARSZAWSKI (nr. 14 z 14.1) podkreśla zmianę, jaka w minionym okresie zaszła na odcinku stosunków polsko-gdańskich. Zmiana ta polegała na zainicjowaniu przez senat gdański w r. 1933 t. zw. polityki porozumienia przez prowadzenie bezpośrednich, poza-ligowych, pertraktacji z Polską przy równoczesnym reklamowaniu tych nowych metod polityki Wolnego Miasta jak najgłośniej w całym świecie.

Czy jednak zmieniły się dzięki temu stosunki polsko-gdańskie na lepsze? Pismo daje na to pytanie odpowiedź negatywną.

„Pomimo zewnętrznie ugodowego pozoru Wolne Miasto Gdańsk prowadzi w stosunku do Polski w istocie w dalszym ciągu całkowicie nieprzejednaną politykę. Zamiast procesu zżycia się Gdańska z Rzeczpospolitą, widzimy coraz większe wyswobodzanie się jego z tych związków, jakimi warunki przyrodzone i umowy międzynarodowe i bezpośrednie polsko - gdańskie łączą go z Polską. Realizuje się na każdym polu, na każdym miejscu, w każdej dziedzinie, hasło: „Zurück zum Reich", coraz jawniej i głośniej szerzone przez kierownika stronictwa narodowo - socjalistycznego w Gdańsku, od którego senat jest całkowicie zależny i którego jest jak najbardziej posłusznym podwładnym i sługą."

Mimo reklamowanej zmiany w stosunkach Gdańska do Polski nie osiągnęliśmy więc istotnego przesunięcia tych stosunków na płaszczyznę całkowitego porozumienia i lojalnego współżycia.

„W dalszym ciągu — jak i przed 1933 r. — jesteśmy wciąż stroną atakowaną. Nie potrafiliśmy zająć stanowiska ofensywnego ani w chwili, gdy załamała się waluta gdańska i Gdańsk wbrew obowiązującym umowom wprowadził ograniczenia dewizowe, ani gdy senat gdański wbrew statutowi wolnego miasta wprowadził ograniczenia konstytucyjne i naruszył ustalony stosunek do Ligi Narodów."

Nie chodzi oczywiście o to, aby zająć Gdańsk, wcielić go do Rzplitej, ale poprostu o to, że

„przejście z defensywy do ofensywy pozwoliłoby stronie polskiej skutecznie pracować nad utrwaleniem istniejących łączników, wiążących Gdańsk z naszym państwem, i przeciwdziałać tym siłom, które wbrew naszym życiowym interesom i z narażeniem pokoju w Europie starają się świadomie, celowo i z żelazną konsekwencją zmienić status quo, ustalony u ujścia Wisły."

Głos z emigracji o dyskusji emigracyjnej

W związku z dyskusją nad budżetem M. S. Z., na której poruszona została również sprawa emigracji, wychodzący w północnej Francji, w Lens, dziennik emigracyjny NARODOWIEC (nr. 13 z 16.1) zwraca uwagę na to, że dyskusja ta podkreśliła interesy emigracyjne Polski, a nie wniknęła w bolączki Emigracji:

„Nie poruszono więc — pisze ten dziennik — dzisiejszych bolączek emigracji i reemigracji. Nie mówiono np. nic o sprawie rent knapszaftowych i weteranach pracy na emigracji, którzy nie z swojej winy stracili prawo do rent, a którym rząd polski powinien pomóc do uzyskania sum należnych. Wychodźca nie widzi i nie odczuwa tych zmian, o których mówił minister, twierdząc, że dawniej istniała tylko sprawa normalnej opieki, dawanej każdemu obywatelowi za granicą, natomiast dziś chodzi o wszechstronną pomoc. My tutaj na Emigracji nie widzimy, niestety, dotychczas nic innego, jak tylko tak zwaną przez ministra normalną pomoc, a nawet w tej dziedzinie odczuwamy poważne braki".

Dziennik nie wierzy w polepszenie się warunków życia emigrantów polskich bez gruntownej rewizji metod dotychczasowych. „Narodowiec" zwraca tu uwagę na konieczność scentralizowania spraw emigracyjnych i wprowadzenia na tym odcinku współpracy międzyresortowej i przypomina, że sprawa ta ciągnie się bez realnego dotąd wyniku od przeszło 10 lat.

Dochodzi do tego — pisze dalej „Narodowiec" — że zagadnienie emigracyjne inaczej przedstawia się z punktu widzenia międzyresortowego, a inaczej z punktu widzenia Emigracji samej i jej spraw i interesów żywotnych. Panowie przy zielonych stolikach w Warszawie uzgadniają „planową politykę emigracyjną" z swojego urzędniczego punktu widzenia, któremu brak należytej znajomości terenu, jak interesów emigracji. Wszystkie fatalne błędy i niedomagania polskiej polityki emigracyjnej pochodzą z nieuwzględnienia istotnych potrzeb i istotnego położenia wychodźtwa."

Jak zaradzić tym brakom? „Narodowiec" uważa tu, że

„zmiana na lepsze nastąpić może dopiero, jeżeli konsulaty i radcowie emigracyjni będą mieli ciało doradcze przy swoich urzędach, złożone z przedstawicieli emigrantów, i gdy te ciała doradcze wraz z konsulami i radcami będą miały wpływ stały na kształtowanie polityki emigracyjnej."

WŚRÓD KSIĄŻEK

CZESŁAW STRASZEWICZ: **Gromy z jasnego nieba (nowele).** Warszawa 1936. Wydawn. „Prosto z Mostu", str. 236.

Trzy nowele Czesława Straszewicza wiąże ze sobą wspólne, choć dyskretnie ukryte zagadnienie i wspólny tytuł. Poza tym akcja, fakty, postacie zgrupowane i sposób podejścia do nich, ujęcia i kształtowania ich charakterów, nie podporządkowane szablonowi. W każdej noweli z osobna są one wybitnie oryginalne i inne. Znać przemyślenie całości aż do najdrobniejszych szczegółów Podobnie jak w niebanalnej partii szachów — pierwsze, pozornie bezprzyczynowe czy bezcelowe, posunięcia mają swój sens ukryty, ujawniający się przeważnie w końcowej części gry, podobnie tutaj posunięcia pisarskie łączą się później w splot dowodowy argumentów, koncentrowanych dla zasugestionowania czytelnikowi zarówno artystycznego obrazu, jak też i pewnej tezy, związanej z problemem nacjonalizmu. — Plastyka postaci, którym zresztą przyznano przeważnie tylko możność cierpienia, metaforyka, wyczucie barwy i rytmu, ogromna skala motywów artystycznych — oto są dane wartościujące dodatnio książkę.

Przy czytaniu „Wzgórza księżyca" wyczuwa się jak autor chce wydobyć na jaw, wypowiedzieć, wykrzyczeć jakiś bezmiar wezbranego uczucia, znaleźć ujście dla niezużytych sił dobrowolnego wygnańca na ojczystej ziemi. Gdy zawodzą wszystkie rachuby realne, pozostaje likcja. Stąd to doskonale oddane dźwiękowo zakończenie: szum wichru i fal oceanu i kotłowanie się wirów przybrzeżnych, a przy tym ten samotny, zapomniany starzec Serrat. — „Serrat pnie się na wzgórze. Wiatr zerwał mu z głowy baskijkę, świeci skóra żółta, podskakuje na plecach blaszanka. **Granice oznaczyć, elementy poznać, dyrektywy ustalić, oceanu nie puścić...** — Oheej! — Serrat idzie zwyciężać ocean".

Nowela „Mojżesz" sprowadza nas z Francji do Polski. Na tle monotonii małego miasteczka, pośród zatargów i sporów prowincjonalnych, miłości panny Zofii, księżych napomnień z ambony, rozwija się tragedia niespodziewanego odkrycia podwójnej narodowości aptekarza Joachima Keplera. Odkrycie to ma w sobie siłę iście fatalną. Zmusza go do przyjęcia napowrót znienawidzonych obyczajów i wierzeń pogardzanego poprzednio narodu, do przełamywania wewnętrznej odrazy, wstrętu i pogardy dla rasowych współbraci, nakazuje opuszczenie stron rodzinnych, naukę hebrajskiego, rzuca na wędrówkę po świecie, w poszukiwaniu zagubionej ojczyzny, w poszukiwaniu sposobu przezwyciężenia wstrętu do siebie samego. To jeden z najlepiej rozwiniętych poglądów autora — o przekleństwie krwi. Efekty niesamowitej grozy, ciążąc nad całością, wstrząsają czytelnikiem, ale w przeciwieństwie naprzykład do „Sklepów cynamonowych" Bruno Schultza niezbyt rażą swą anormalnością czy superrealizmem.

Wreszcie temat trzeci: „Chór Gładkowa". Emigranci rosyjscy, wyrzuceni poza nawias życia nowej Rosji, nie mogący zrozumieć już młodych pokoleń, bezdomni, błąkający się po ziemi szerokiej, morzu bezkresnym — skazane na zagładę rozbitki.. „Ten wódka, ten kokaina, ten owo, ten tamto, a nienawidzą się, a żrą, każdy tylko o sobie myśli, każdy dla byle okazji w świat by umknął..." A po przez opary namiętności do narkotyku, alkoholu, kart — przebija się niekiedy, w niespokojnych wspomnieniach, daleki obraz rodzinnego kraju, ziemi rosyjskiej.

Problem nacjonalizmu, zagadnienia stosunku jednostki do Ojczyzny, Narodu, jest więc jak gdyby nicią, wiążącą całość książki. Lecz problem ten jest postawiony i przeprowadzony w sposób daleki od krzykliwej banalności. Nienawiść rasowa, judzenie lub zakłamywanie się hurapatriotycznym frazesem — nie opanowały opowiadań Straszewicza. Cechą ich jest dogłębne wczucie się w psychikę człowieka, niepotrzebnego nikomu, człowieka bez ojczyzny, zatraconego wagabundy w bezcelowej włóczędze. Na tym polega odrębność książki, lecz zarazem i podobieństwo jej do książek Conrada.

Witold Kosiński.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Materjały do dziejów Wielkich Katowic (1299—1799). Zebrał i opracował **Ludwik Musiał.** Wyd. Instytutu Śląskiego. Katowice 1936.

Przegląd Oszczędnościowy. Kwartalnik poświęcony zagadnieniom z dziedziny oszczędności. Warszawa. Rok III. Nr. 12.

Kamena. Miesięcznik literacki. Chełm Lubelski. Grudzień 1936. Rok IV. Nr. 4 (34). Cena 60 gr.

Polacy zagranicą. Miesięcznik. Organ Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Styczeń 1937. Rok VIII. Cena 70 gr.

Janusz Ignaszewski, W obliczu zasadniczych przeobrażeń. Katowice 1937.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.